

magazyn

997

kryminalny

- SEZAM 997
- W KOLEJCE PO BROŃ GAZOWĄ
- UWAGA: FALSZYWE BANKNOTY
- KRADZIEŻE W POCIĄGACH
- ŚMIERĆ NA WESELU
- SZANTAŻYSTA
- TAJEMNICA SKRYTKI 270

8
1990

NR 8 (1879) ● 15 IV 1990 ● CENA 1200 ZŁ



W podróży bądź przezorny



zdj. Krzysztof Mokrzyński

Spokojnych Świąt
życzy Redakcja





BEZ BEZPIEKI BEZ MILICJI

W dniach 29 i 30 marca br. na posiedzeniu sejmowych komisji: Ustawodawczej oraz Administracji i Spraw Wewnętrznych toczyła się kolejna już dyskusja nad projektami ustaw o resorcie spraw wewnętrznych. Zgodnie z wcześniej przyjętą propozycją posła Bohdana Kopczyńskiego ustawy: O policji oraz o Urzędzie Ochrony Państwa wzbogacone zostały o przepisy pragmatyki służbowej dla policjantów i funkcjonariuszy UOP.

W obradach, którym przewodniczył poseł Stanisław Gabrielski, uczestniczyli także zaproszeni m.in. przedstawiciele Ministerstwa Sprawiedliwości, MON, MSW oraz KG MO, a także przedstawiciele NSZZ FMO, którzy bardzo aktywnie włączyli się do poselskiej dyskusji, czuwając przede wszystkim nad tym, by przyszła policja była formacją samodzielną, co stanowi największą zmianę w stosunku do obecnie obowiązujących przepisów.

Ustawa o policji

składa się z IX rozdziałów, 154 artykułów i zajmuje 69 stron maszynopisu. Poselska dyskusja nad nią toczyła się (z przerwami) 12 godzin.

O zadaniach policji, jej organizacji, zakresie uprawnień pisałam szczegółowo w poprzednich informacjach z Sejmu. W porównaniu do tamtych projektów nie wprowadzono zasadniczych zmian. Rozszerzono jedynie uprawnienia komendanta głównego Policji oraz komendantów wojewódzkich, dając im prawo decydowania o kadrach, ich kształceniu, przygotowaniu zawodowym, a także o awansach na stanowiska kierownicze.

Wprowadzono zapis, iż każdy policjant z korpusu podoficerów i szeregowych musi legitymować się wykształceniem średnim, a z korpusu oficerów — wyższym. Już wkrótce, gdy ustawa zyska akceptację Sejmu i Senatu, zamiast pułkowników, majorów itd. będą inspektorzy i komisarze (także nad- i pod-), zamiast chorążych — aspiranci, podoficerowie będą sierżantami i starszymi sierżantami, a szeregowych nazywać będziemy postępowymi i starszymi postępowymi.

Czas pełnienia służby policjanta jest określany wymiarem jego obowiązków, z uwzględnieniem prawa do wypoczynku — głosi projekt ustawy. A zatem,

czas służby pozostanie nienormowany. W zamian policjant po 15 latach nabywa prawo do emerytury policyjnej. Utrzymuje się również resortową służbę zdrowia, prawo do służbowego mieszkania, a więc i ekwiwalentu za jego brak itd., itd. Generalnie — z jednym wyjątkiem dotyczącym mieszkań spółdzielczych — nie zmieniono dotychczasowych uprawnień socjalnych funkcjonariuszy.

Wprowadzono natomiast do projektu ustawowe gwarancje przestrzegania praworządności, m.in. obowiązek odmawiania wykonania rozkazu lub polecenia, które łączyłyby się z popełnieniem przestępstwa, a także meldowania o każdym takim fakcie komendantowi głównemu Policji.

Policjant nie może być członkiem partii politycznych, ma natomiast prawo zrzeszania się w związku zawodowym — tylko jednym, bez prawa strajku.

W projekcie ustawy zachowano również, budzące wiele kontrowersji, przepisy karne, mówiące m.in. o tym, że za przekroczenie uprawnień, naruszenie dóbr osobistych obywateli, stosowanie przymusu fizycznego, znęcanie się psychicznie itp. policjant podlega karze od grzywny do 5 lat pozbawienia wolności.

Z chwilą utworzenia Policji zostaje rozwiązana Milicja Obywatelska. Jej funkcjonariusze stają się funkcjonariuszami Policji, z wyjątkiem tych, którzy do dnia 31 lipca 1989 r. byli funkcjonariuszami SB.

W ciągu trzech miesięcy od wejścia w życie ustawy minister nada odpowiednio stopnie funkcjonariuszom policji, którzy do tego czasu zachowują dotychczasowe stopnie MO. Może się jednak zdarzyć, że niektórzy funkcjonariusze MO nie podejmą pracy w jednostkach podległych ministrowi spraw wewnętrznych. Im przysługiwać będą — jeśli Sejm i Senat przyjmie projekt art. 148 — uprawnienia przewidziane dla funkcjonariuszy zwolnionych ze służby na podstawie art. 41 ust. 2, pkt. 5, chyba że

nabyli uprawnienia do zwolnienia ze służby na korzystniejszych warunkach (np. emerytura).

Ustawa o Urzędzie Ochrony Państwa

Przewiduje rozwiązanie Służby Bezpieczeństwa z chwilą utworzenia Urzędu Ochrony Państwa. Funkcjonariusze SB z mocy prawa zostaną zwolnieni (dotyczy to również tych, którzy do 31.07.89 byli w SB). Tryb i warunki przyjmowania do służby w UOP określi Rada Ministrów w terminie 10 dni od wejścia w życie ustawy. Natomiast funkcjonariusze, którzy nie podejmą służby lub pracy w jednostkach organizacyjnych podległych ministrowi spraw wewnętrznych zachowają — jeśli Sejm i Senat przyjmie projekt art. 131 ust. 1 — uprawnienia przewidziane dla funkcjonariuszy zwolnionych ze służby na podstawie art. 28 ust. 2, pkt. 5, chyba że nabyli uprawnienia do zwolnienia na korzystniejszych warunkach (np. emerytura).

Urząd Ochrony Państwa, nad którego zadaniami i przyszłą strukturą dyskutowano z udziałem wicepremiera Czesława Kiszcza, podporządkowany będzie ministrowi spraw wewnętrznych. Urząd ten ma w porównaniu z SB, znacznie wyższe zadania, bo polegające wyłącznie na: rozpoznawaniu i przeciwdziałaniu zagrożeniom godzącym w bezpieczeństwo, obronność, niezależność i całość państwa; zapobieganiu i wykrywaniu przestępstw szpiegostwa i terroryzmu, a także innych przestępstw przeciw państwu oraz ściganiu ich sprawców; rozpoznawaniu i przeciwdziałaniu naruszeniom tajemnicy państwowej; przygotowywaniu dla najwyższych organów władzy i administracji państwowej informacji i analiz istotnych dla bezpieczeństwa państwa.

Projekt ustawy dopuszcza tworzenie delegatur UOP, nie będą to jednak struktury po-

MILICJA INFORMUJE

(Wybór zdarzeń kryminalnych)

HORROR

- 17 marca br. w miejscowości Łasin (woj. toruńskie) w przydrożnym rowie ujawniono zwłoki Jarosława N. (lat 13). Milicja ustaliła i zatrzymała sprawcę śmiertelnego pobicia. Jest nim Andrzej G. (lat 16). Nieletni byli wychowankami Państwowego Domu Dziecka w Łasinie.
- 18 marca w zbiorniku wodnym Dżibice 2 (woj. częstochowski) znaleziono zwłoki mężczyzny. Ustalono, że jest to Marian K., właściciel takśówek. Całkowicie spalony samochód marki Fiat 125p znaleziono około 10 km od miejsca ujawnienia zwłok.
- 20 marca około godz. 21.00 w Nasierowie Dolnym (woj. ciechanowski) oddano strzał z broni palnej do okna mieszkania Tadeusza S., kierownika miejscowego PGR. Pocisk przebił podwójną szybę i trafił go w kark przebijając na wylot

- szczie i powodując zgon. Milicja zatrzymała sprawcę zabójstwa, Stanisława Z. (lat 54).
- 22 marca w miejscowości Biała Pańieńska (woj. konińskie) w mieszkaniu ujawniono obnażone zwłoki samotnie mieszkającej Janiny K. (lat 78). Tego samego dnia w miejscowości Lubiny (około 300 m dalej) znaleziono obnażone zwłoki samotnie mieszkającej Władysławy S. (lat 85). Na miejscu zdarzenia zabezpieczono młotek ze śladami krwi i dziecinny korkowiec.
- 23 marca Antoni G. (lat 92) powiadomił Komisariat MO w Zabkach (woj. stołeczne), że dokonał zabójstwa swojej żony Władysławy G. (lat 76).
- Tego samego dnia w Zawierciu na drodze polnej znaleziono fiata 125p, w którego bagażniku znajdowały się zwłoki Jarosława C. z ranami tłuczonymi głowy. Ustalono, że

z samochodu zniknęły wartościowe przedmioty i dokumenty.

- 24 marca w lesie w miejscowości Przybyszowy (woj. kieleckie) znaleziono nieznanego mężczyznę w stanie nieprzytomnym, częściowo rozebranego, ze związanymi rękami i nogami oraz śladami pobicia. Zmarł on rankiem następnego dnia w szpitalu.
- 26 marca na terenie gospodarstwa Henryka P. w miejscowości Olszan-ka (woj. chełmskie) znaleziono kończynę ludzką ze śladami odrabiania na wysokości kolana. Była ona częściowo nadpalona. W wyniku poszukiwań w odległości 7 km natrafiono na resztki spalonych tkanek kostnych, portmonetkę z pieniędzmi, łaskę inwalidzką i zegarek. Najprawdopodobniej są to szczątki zwłok i rzeczy poszukiwanego od 2 dni Franciszka Ł. (lat 81).
- 27 marca w Kolbudach k. Gdańska ujawniono zwłoki Wandy W. (lat 40) i jej dzieci Anny (lat 10) i Rafała (lat 14). Ustalono, że matka z broni palnej dokonała zabójstwa dzieci, a następnie popełniła samobójstwo pozostawiając uprzednio list pożegnalny.

NAPAD NA DUCHOWNEGO

- 17 marca dokonano napadu na mieszkanie ks. Kazimierza K. z pa-

rafii św. Wincentego na warszawskiej Pradze. Prawdopodobnym sprawcą jest znajomy pokrzywdzonego, z którym oglądali wspólnie wideo. Z mieszkania skradziono magnetowid. Stan zdrowia pobitego księdza jest bardzo ciężki.

SĄSIEDZKA POMOC

- 17 marca około godz. 14.50 w Łęczycy (woj. płockie) 2 mężczyzn dokonano napadu mieszkaniowego na Witolda H. (lat 77). Na krzyk pokrzywdzonego przybyli na pomoc takśówkarze Henryk L. i Jan S., którzy zatrzymali sprawców. Są nimi Jan M. i Jan K. — przebywający na przepustce z Zakładu Karnego w Łęczycy. Odczytano 3 butelki wódki i kawę z mieszkania napadniętego.

MILICJANCI STRZELAJĄ

- 21 marca w nocy funkcjonariusze MO zastali na gorącym uczynku sprawcę włamania do sklepu w Myslenicach. Zaatakował on łyżką do zdejmowania opon st. kpr. Józefa G. i uderzył go w rękę. Funkcjonariusz oddał strzał z pistoletu raniąc w bark napastnika, który podjął ucieczkę nie zatrzymując się pomimo ostrzeżenia. Po oddaniu 2

dobne ani do dawnych WUBP, ani do WUSW.

Określa również, podobnie jak projekt ustawy o policji, kto może pełnić służbę w UOP, podaje rotę służbową oraz warunki służby.

W Urzędzie Ochrony Państwa obowiązują korpusty i stopnie wojskowe. Funkcjonariusz tego urzędu nie może, bez zezwolenia przełożonego, podejmować zajęcia zarobkowego poza służbą (policjant również — przyp. E.C.) ani ogłaszać twórczości związanej ze służbą. Nie może być członkiem partii politycznych ani zrzeszać się w związku zawodowym. A w razie wyjazdu za granicę musi uzyskać dla siebie, współmałżonka oraz dzieci pozostających na jego utrzymaniu zezwolenie szefa UOP.

Zachowuje natomiast dotychczasowe (dla funkcjonariuszy MO i SB) uprawnienia socjalne i prawo do emerytury po 15 latach służby.

I w tej ustawie są przepisy dyscyplinarne i karne, w których górne zagrożenie przewiduje karę 5 lat pozbawienia wolności.

Tak więc z chwilą wejścia w życie obu omówionych ustaw traci moc ustawa z 31 lipca 1985 r. o służbie funkcjonariuszy SB i MO.

Projekt ustawy: o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych

dostosowuje jej przepisy do zmienionych realiów. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych ma być, podobnie jak inne ministerstwa, instytucją cywilną, a jego pracownicy cywilnymi pracownikami urzędu państwowego.

Minister spraw wewnętrznych sprawować ma nadzór nad: działalnością Policji, Urzędu Ochrony Państwa, Straży Pożarnej oraz przewidzianej nowej formacji: Straży Granicznej. Mogą mu być także podporządkowane wydzielone jednostki wojskowe.

ELŻBIETA CIERLICA

PIERWSZE POSIEDZENIE KOMITETU KOORDYNACYJNEGO RADY MINISTRÓW DO SPRAW PRZESTRZEGANIA PRAWA

Stan bezpieczeństwa wewnętrznego państwa na tle zagrożenia przestępczością był 27 kwietnia przedmiotem obrad na pierwszym posiedzeniu Komitetu Koordynacyjnego Rady Ministrów do spraw Przestrzegania Prawa.

Komitet powołany został 25 września ub.r. i — jak podkreślił jego przewodniczący generał Czesław Kiszczak — nie może on pełnić obowiązków „superstróża”, jego zadaniem bowiem jest analiza i ocena problemów związanych z przestrzeganiem prawa, bezpieczeństwem obywateli oraz państwa. Generał Kiszczak wskazał również, że jednym ze sposobów przeciwdziałania rosnącemu zagrożeniu przestępczością kryminalną i gospodarczą mogłoby być powołanie, przez nowo wybrane samorządy, straży obywatelskich (na wzór ochotniczych straży pożarnych) oraz policji skarbowej, jaka istnieje w krajach zachodnich.

Komendant główny MO generał Zenon Trzcinski zasugerował podjęcie przez milicję, Ministerstwo Sprawiedliwości, prokuraturę i sądy wspólnych działań w celu przygotowania pełnej informacji o rozmiarach przestępczości oraz jej przyczynach.

JAN SZYK

ZNIECZULICA

— Ten fakt zbulwersował siemianowicką opinię publiczną — opowiada porucznik Jan Kogut. — To że dla ponad pięćdziesięciu stojących w kolejce młodych ludzi ważniejsze było, aby kupić przywiezione właśnie papierosy niż zareagować na gwałt zadawany tuż obok, wydaje się niepojęte.

— Była godz. 6.00 — mówi jeden ze świadków zdarzenia Stanisław P. — Staliśmy w kolejce po papierosy, ludzie byli przeważnie z pobliskiej huty szkła i fabryki elementów złącznych. Kolejka posuwała się powoli. Nagle z bloku położonego o jakieś 20 metrów dalej wyszli młody mężczyzna i starszy człowiek o łasce. Gdy znaleźli się na schodach przed domem, ten młody odwrócił się do starszego i uderzył go pięścią w klatkę piersiową. Tamten zachwiał się i upadł. Wtedy młody uderzył go jeszcze kilka razy. Potem zaczął obszukiwać mu kieszenie. Powoli, bez pośpiechu. Nikt z przyglądających się nie reagował. Dopiero po chwili jakaś kobieta w średnim wieku zaczęła krzyć: „Zostaw go, ty bandyto”. Wtedy tamten zerwał leżącym zegarek z ręki i zaczął uciekać.

— Czy ktoś z kolejki ruszył w pościg za przestępcą?
— Nie. Każdy chciał kupić papierosy...

Czy 67-letni Walter P. mógł przypuszczać, że tak tragicznie skończy się dla niego znajomość z ponad dwukrotnie młodszym mężczyzną? Emeryt, były pracownik kopalni, mieszkał samotnie przy ulicy Fabrycznej w Siemianowicach Śląskich. Cierpiał na schorzenie nóg, które utrudniało mu poruszanie się. Gdy dowiedział się, że w sąsiedztwie zajmują lokal „na dziko” zwolniony z więzienia 29-letni Jerzy R., udał się do niego i zaproponował, aby ten zamieszkał wspólnie z nim. Ponieważ R. wahał się, starszy człowiek zaproponował, że „na wódkę”, którą mieli wypić dla przypieczętowania umowy.

Libacje rozpoczęli późno, około północy. Gdy wypili pierwszego litra, Walter P. dał współbiedniakowi pieniądze na zakup kolejnej butelki. Właśnie wtedy zawartość jego portfela zainteresowała Jerzego R. Nie dał jednak nic po sobie poznać, postanowił bowiem, że najpierw napije się za to, co Walter P. chce dać dobrowolnie, a dopiero później zabierze mu resztę.

Pili więc do rana. Przez cały ten czas Jerzy R. snuł plan napadu.

— Podobał mi się jego zegarek — powiedział potem. — Czulem, że muszę go mieć. Poza tym P. chwalił mi się, że ma wysoką rentę i znajomego, który mu przysłał paczki i pieniądze za RFN.

Mimo że umysł miał zamroczony alkoholem, postanowił zaraz po zakończeniu picia wyprowadzić Waltera P. poza dom i tam zabrać mu pieniądze oraz upatrzony zegarek...

Porucznik Jan Kogut:

— Najgorsze jest to, że nikt nawet nie ruszył się z miejsca. Stojący w kolejce oglądali to jak film sensacyjny i nawet komentowali co ciekawsze momenty.

Świadek zdarzenia Stanisław P.:
— Nikogo tak naprawdę to nie interesowało. Ludzie tłumaczyli sobie — „pewnie się pokłócił, jak to koleś nie ma co się wtrącać w nie swoje sprawy”.

— Napastnik Jerzy R. został ujęty po kilku godzinach — mówi zastępca szefa MUSW w Siemianowicach Śląskich. — Nawet nie wiedział, że jego ofiara nie żyje.

— Zarówno Jerzy R., jak i cała jego rodzina są dobrze znani tutejszej milicji. Ojciec, wielokrotnie karny, popełnił samobójstwo przez powieszenie. Matka, również „skłócona z prawem”, szesnastokrotnie podejmowała samobójcze próby przez podcinanie sobie gardła, aż wreszcie jej się to udało. Poza Jerzym R. mieli jeszcze trzech synów. Wszyscy są karani. Obecnie jeden z nich jest aresztowany za włamanie, drugi ma sprawę o ciężkie pobicie. Teraz ponownie dołączył do nich Jerzy. Czwarci brat zaś, gdy przychodzi po niego milicja, a dość często daje do tego powody, natychmiast się tnie wszystkim, co ma pod ręką...

Świadek zdarzenia Stanisław P.:

— Ludzie nie chcą angażować się. Boją się ciągnięcia po sądach, nikt nie ma na to czasu. Poza tym, co komu z tego przyjdzie? Jak ktoś jest od urodzenia bandytą, to spokojny człowiek i tak nic nie pomoże...

Nasza procedura karna istotnie nie należy do najprostszych. Świadek najpierw przesłuchuje milicję, potem sąd — i to nie raz. Ponadto wystarczy drobny powód, aby sprawa „spadła” z wokandy i wtedy wszyscy wezwani w celu złożenia zeznań muszą przyjeżdżać do sądu ponownie. Czasem powtarza się to wielokrotnie.

Czy jednak ta świadomość może zważyć na moralnej powinności udzielenia pomocy napadniętemu?

Jerzy R. został aresztowany pod zarzutem dokonania rozboju na Walterze P. Kiedy pytam, dlaczego nie będzie sędzić się go za zabójstwo, pada nieoczekiwana odpowiedź:
— Walter P. zmarł po napadzie, w wyniku zawału serca...

CEZARY WOLIŃSKI

strzałów ostrzegawczych st. kpr. Józef G. zranił uciekającego w podudzie. Zatrzymanym okazał się Zbigniew K. (lat 29), recydywista, uciekinier z Zakładu Karnego w Tarnowie.

● 26 marca o godz. 15.40 na Placu Komuny Paryskiej w Warszawie będący po cywilnemu plut. Artur S. z sekcji uzbrojenia Stołecznego Oddziału Prewencji MO został zaatakowany przez 4 mężczyzn, którzy usiłowali użyć wobec niego miotacza gazowego i ostrego narzędzia oraz odebrać broń służbową. W trakcie szamotaniny padły 2 strzały, z których jeden ranił napastnika Włodzimierza C. (przestrzelenie nóg).

STRAŻNIK NA POSTERUNKU

● 15 marca około godz. 23.30 na teren „Agrometu” w Lublinie wtargnął mężczyzna, który nie reagował na wezwania strażnika Straży Przemysłowej. Kazimierz W. użył broni służbowej raniąc w obydwie stopy Stanisława G. (lat 28), którego przewieziono do szpitala.

TERAZ MY RZĄDZIMY

● 24 marca na targowisku w Białej Podlaskiej będący po cywilnemu w czasie wolnym od służby st. sierż.

Mirosław K. z ruchu drogowego został pobity do utraty przytomności przez mężczyznę, który wykrzykiwał: „Koniec waszych czasów, teraz my rządymy”. Funkcjonariusz doznał złamania nosa i obrażeń oka. Napastnik skradł mu dokumenty pieniężne i zegarek. Sprawcę, karanego za rozboje, poszukiwanego listem gończym Józefa S. (lat 29), zatrzymano do dyspozycji prokuratora. Zrabowane przedmioty odzyskano.

UCIEKLI Z IZBY DZIECKA

● 17 marca o godz. 10.00 z pomieszczeń Milicyjnej Izby Dziecka w Olsztynie zbiegło 5 nieletnich: Grzegorz Pios (lat 16), Marek Pydyń (lat 16), Grzegorz Kubajka (lat 16), Jacek Tomczyk (lat 16) i Krzysztof Wasilek (lat 15). Chłopcy pobili wychowawcę chor. Józefa K. (lat 48), związali go i odebrali mu klucze od magazynu z odzieżą osobistą, w którą się przebrali.

Z AUTOMATEM W RĘKU

● 24 marca o godz. 22.40 w Sieradzu dokonano napadu rabunkowego na stację benzynową. 2 sprawcy sterforyzowali agenta Aleksandra J. bronią długą (najprawdopodobniej pistoletem maszynowym wz. 1945), związali go i zrabowali złotówki oraz

bony dolarowe wartości 48 136 759 złotych. Blokada dróg nie dała rezultatu.

NAPADY NA LISTONOŚY

● 21 marca w południe w Elblągu dokonano napadu na Ewę N., doręczycielkę urzędu pocztowego. Sprawca obezwładnił ją gazem, a następnie wyrwał torbę z korespondencją i 30 mln zł. Funkcjonariusze MO zatrzymali w pościgu Krzysztofa Sz. (lat 40), zam. w Olsztynie. Mienie oddano. Napastnik wyposażony był w pistolet gazowy.

● 28 marca na drodze lokalnej we wsi Międziewie Stare (woj. skierniewickie) siłą zatrzymano jadącego rowerem listonosza Tadeusza S. Został on pobity, ukradziono mu też torbę z korespondencją i gotówkę w kwocie 11 500 tys. zł. Napastnicy odjechali małym fiatem. W wyniku milicyjnych działań zostali zatrzymani w Łowiczu. Są nimi Paweł S., zwolniony z zakładu karnego na mocy amnestii w ub. r. i Marek S., przebywający na przerwie w odbywaniu kary. Większość łupu odzyskano.

NIEBEZPIECZNA WINDA

● 22 marca w Łodzi przy ul. Wapiennej dokonano w windzie wieżowca napadu rabunkowego na Ma-

rię B. Nieznany sprawca zaatakował ją nożem raniąc w brzuch i szyję, a następnie skradł 200 tys. zł. Marię B. w ciężkim stanie umieszczono w szpitalu.

WIELKIE LUPY

● 17 marca ujawniono włamanie do zabudowań gospodarczych Wojciecha C. w Helenowie (woj. skierniewickie). Sprawcy skradli 11 silników elektrycznych, 2 wiatrowki, kompresor, spawarkę, 21 rolek papy, 10 ton blachy, 4 rolki siatki ogrodzeniowej, 20 beczek po oleju napędowym. Suma strat wynosi około 100 mln zł. Funkcjonariusze zatrzymali jednego z podejrzanych — Mariana K.

● 22 marca na wniosek WUSW w Bielsku-Białej prokurator aresztował uprzednio karanego Mariana K. Jest on podejrzany m.in. o włamanie do budynku Jana S. w Porąbce, skąd skradł obrazy, skóry, kryształ i samochód łącznej wartości 500 mln zł. ● 27 marca DUSW Warszawa-Sródmieście został powiadomiony o włamaniu do mieszkania Zofii L. Sprawca po otworzeniu zamków dopasowanymi kluczami skradł biżuterię, walutę obcą, sprzęt RTV i odzież futrzaną wartości 127 920 dolarów USA. Podejrzany jest były mąż właścicielki mieszkania.

oprac. MAT



Prawie każde negatywne stwierdzenie dotyczące porządku i bezpieczeństwa w Warszawie jest obecnie bliskie prawdy. Najgorsze oceny sygnalizują się na stołeczną dzielnicę Praga-Północ. Zagrożenie w wysokim stopniu powoduje sławny bazar Różyckiego.

W grudniu 1989 roku kierownictwo KG MO podjęło decyzję, aby funkcjonariusze z całego kraju pomogli stolicy w przywróceniu porządku i bezpieczeństwa. W tym czasie wykrywalność sprawców przestępstw przeciwko mieniu (kradzieże, włamania itd.) na Pradze-Północ sięgała 10 proc., a w poszczególnych kategoriach progami stało się 2,5 proc.

15 stycznia br. wytypowani funkcjonariusze przybyli do stolicy. Ale ona ich, niestety, nie przyjęła. Członkowie specjalnych grup nie mieli gdzie zamieszkać.

Ponownie Warszawa zobaczyła ich 8 lutego, zresztą, nie w pełnej liczbie. Niektórzy nie dali się już namówić. Zostali zastąpieni przez innych. Delegatów z pionu kryminalnego podzielono na dwie grupy. Jedną, tą najważniejszą, miała się zająć bazar, drugiej przypadło w udziale mniej samodzielne zadanie: pomoc inspektorom służby kryminalnej DUSW.

„Grupa bazarowa” zakwaterowana częściowo w hotelu przy ul. Słonecznej, w hotelu KS Gwardia oraz na barce rzecznej, zakotwiczonej na kanale Żerańskim, wzięła się ostro do roboty.

Zanim jednak przystąpiła do działań, jej kierownik ppor. Tomasz Piechota z WUSW w Krośnie zażądał „wolnego pola”: — Chcemy być na bazarze sami, bez kolegów pełniących tu służbę na stałe: milicjantów, dzielnicowych, inspektorów i wywiadowców.

STOLICY NA ODSIECZ



Tak więc 8 lutego, za zgodą szefa DUSW, bazar dostał się w ręce funkcjonariuszy z kilku województw. Już w pierwszych godzinach służby dostrzegli bazarowych tuzów. Ci jednak nie znając nowych funkcjonariuszy nawet z widzenia, wiedzieli, że takowi są. Po otrzymaniu takiej wiadomości, niejeden złodziej i paser opuścił bazar. Ale już drugiego, trzeciego dnia wracał, bo przestoje w tym fachu są kosztowne. Myślał, że milicjanci z prowincji, po zakończeniu akcji, odjechali.

Pierwszy miesiąc pracy „grupy bazarowej” zaowocował wynikami. Oto niektóre:

Ppor. Tadeusz Garatkiewicz z WUSW w Suwałkach drogą operacyjną uzyskał informacje o sprawcach włamania do sklepu futrzarskiego w Piotrkowie Trybunalskim. Na bazar mieli przywieźć łup główni sprawcy skoku. Na podstawie powyższej informacji dowódca grupy opracował plan przedsięwzięcia. 5 marca zatrzymano samochód osobowy marki Polonez załadowany skórzanymi kurtkami i kożuchami wartości ponad 5 milionów złotych. Dysponentem towarów był jeden ze sprawców — Edward S. Podczas wstępnego przesłuchania przyznał się on do udziału we włamaniu, które dało przestępcom zysk około 40 milionów złotych. W skutecznych i efektywnych działaniach obok ppor. T. Garatkiewicza brali udział: ppor. Adam Szydłowski z WUSW w Lublinie i por. Wiesław Wiśniewski z WUSW w Łomży.

Kpr. Zbigniew Wyciarski z RUSW w Łańcucie obezwładnił kieszonkowca w chwili, gdy ten wyciągał z torby kobiety portmonetkę.

Operacyjnym zmysłem i refleksem wykazał się ppor. Zbigniew Niewczas z WUSW w Kielcach. Na podstawie uzyskanej informacji zatrzymał mieszkańca Siedlec, który usiłował sprzedać skradziony magnetowid.

Mł. chor. Grzegorz Pawlik z RUSW w Przysusze zatrzymał na gorącym uczynku sprawcę kradzieży dzinsowych spodni ze straganu.

Imponując doświadczenie zdobyte przez członków „bazarowej grupy” w tak krótkim czasie, zaledwie po dwóch miesiącach. Dowiedli oni, iż dobrzy fachowcy nie boją się pracy w żadnych warunkach, nawet tak trudnych, jakie stwarza stolica.

Ale jest, niewątpliwie, pułap możliwości takiej grupy. Nie może ona w nie zmienionym składzie pracować za długo w jednym miejscu. Działający tu przestępcy stosują metodę „va banque”. — Paser lub złodziej mając do sprzedania pięć skradzionych magnetowidów zatrzymującemu go funkcjonariuszowi proponuje fifty-fifty — mówi kpt. S. Szymański. — A milicjant to tylko człowiek. Na razie brak negatywnych sygnałów, ale rozum nakazuje rotację. Po dwóch—trzech miesiącach.

Co o swej pracy mówią sami członkowie grupy?

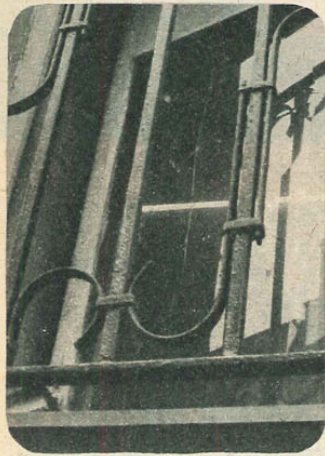
— Ta praca wciąga — stwierdza kierownik ppor. Tomasz Piechota. — Ludzie pracują z sercem. Ale są i minusy. Obecnie, zatrzymanego złodzieja z łupami funkcjonariusz prowadzi do DUSW pieszo. Często teren działania nie zamyka się w obrębie bazaru. Wstyd mi powiedzieć, ale wyklócamy się nawet o bilety tramwajowe do celów służbowych. Trzeba interweniować w SUSW. Są też kłopoty z otrzymywaniem równoważników pieniężnych.

— Czy bierzecie pod uwagę, że skuteczność pracy „grupy bazarowej” może spowodować ewakuację przestępców na inne place i targowiska Warszawy?

— Tak, z tym się liczymy — mówi kpt. S. Szymański. — Myślimy o stworzeniu grupy, która mogłaby działać we wszystkich zagrożonych punktach stolicy.

EDWARD NOWAK
zdj. K. Mokrzyzewski

DO TRZECH RAZY...



AKT I

23 lutego 1990 r. Warszawa. Popołudnie. Międzydzielnicowa Anarchistyczna zwołala kolejny wiec. Przeciw wszystkiemu — planowi Balcerowicza, Rosjanom, Żydom, komunie i „Solidarności”, czarnym, czerwonym i zielonym. Nie ważne kto i co, ważne, aby była zadyma. O godzinie 15.30 w pasażu śródmiejskim zbiera się około 300 wyrostków. Jest fajnie, kolorowo i wesoło. Oni są teraz panami ulicy. Przechodnie trwożnie uciekają na boki. Chłopcy ruszają ulicą Marszałkowską blokując ruch. Jeżeli jakiś kierowca chce się przecisnąć, to wałęsa na dach, kopią w drzwi, wybijają szyby. Maszerują Alejami Jerozolimskimi i Bracką w kierunku Sejmu. Tu spotykają funkcjonariuszy Stołecznego Oddziału Prewencji MO. Obrzucają ich kamieniami, epitetami, nagrywają się. Rozkaz jest wyraźny: milicji nie wolno interweniować, nie prowokować. Przechodnie głośno komentują tę bezsilność władzy.

Zadymiarze przenoszą się w Aleje Ujazdowskie. Lecą kamienie i pękają szyby w pałacyku OKP. Ochroniarze zachodnich ambasad wybiegają przed swoje budynki. W SUSW, gdzie wcześniej wiedziano o tej zadymie, cały czas pracuje specjalnie powołany sztab. Lecz nie pada żadna decyzja o interwencji, o rozproszeniu nielegalnego zgromadzenia przekształcającego się w burdę uliczną.

A młodzież rzuca całym Śródmieściem. Maszerują w kierunku hotelu „Victoria”. Pod uderzeniami ciężkich buciurów pęka szyba wejściowa wartości kilkuset dolarów. Rozochoceni anarchiści wpadają do sali konsumpcyjnej, łamią meble, zabierają sztućce, oblewają konsumentów sosami, rzucają w siebie kotletami. Zachodni biznesmeni są zszokowani. Nadal jednak nikt nie interweniuje, choć przygotowane są pododdziały SOP...

Jest godzina 17.00, gdy około



100–150-osobowa grupa nastolatków pojawia się w centralnym punkcie Warszawy, u zbiegu ulic Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich. Siadają na całej szerokości jezdni, blokując ruch we wszystkich kierunkach, powodując wielokilometrowe korki. Kierowcy, którzy usiłują przejechać przez środek ronda są obzucani kamieniami, a na chłisi rysują gwoździem karoserie ich samochodów. Małolaty skandują: „Gdzie jest milicja?”, „Zadzwonić po milicję!”. Kpią sobie w żywe oczy.

Po pół godzinie rozbawiona młodzież odblokowuje rondo i rusza w kierunku DUSW Warszawa-Śródmieście przy ulicy Wilczej. I znów okrzyki: „Precz z komuną!”, „Wałęsa to kawał mięsa!”. Na miejscu jest pododdział SOP, lecz rozkaz nadal ten sam: nie interweniować, zachować spokój. Lecą kamienie, butelki z płynem zapalającym (a więc przygotowane dużo wcześniej), kilka milicyjnych samochodów zostaje uszkodzonych. Zastępca szefa DUSW ds. MO mjr Henryk Plaskaty nie wytrzymuje i rzuca w eter kilka nieczuwalnych słów. Dopiero wówczas dowódca pododdziału SOP dostaje ze sztabu rozkaz rozproszenia zadymy. Trwa to niecałe 20 sekund i szczawiki grzeją do domów jak zające. Dwóch najagresywniejszych zostaje zatrzymanych, ale teraz błyskawicznie wkracza do akcji prokuratura, polecając ich natychmiast zwolnić, by nie prowokować.

AKT II

Miesiąc później. Pierwszy dzień wiosny. Jest godz. 17.30, gdy zadymiarze w liczbie około 100 zbliżają się do siedziby DUSW Warszawa-Śródmieście. Wcześniej na Starówce zniszczyli mercedesa na sumę 20 mln złotych, obrabowali kiosk z pamiątkami na kolejne 20 mln, powybijali szyby w „Bazyliuszku” i w mieszkaniach prywatnych. W szpitalu znajduje się ciężko ranna od uderzenia kamieniem w głowę mała dziewczynka. 8 milicjantów odniosło obrażenia.

Tu, na Wilczej, scenariusz się powtarza. Małolaty ryczą: „Gdzie jest milicja!”, lecą kamienie, śrubby, pękają szyby. Rozkaz ze sztabu jest wyraźny: nie interweniować, a najlepiej tłumaczyć, co w praktyce oznacza zostać świętym, tj. dać się ukamienować. Podjeżdża radiowóz i jakiś specjalista od psychologii tłumaczy przez głośniki nadaje: „Chłopcy, jak was mama wychowała? Jesteście niegrzeczni, idźcie do

domu, przecież milicja was nie zaczepia”. Ludzie na balkonach pokładają się ze śmiechu, rechot niesie się ulicą. Rozkaz sztabu trzyma milicjantów w miejscu.

KIEDY EPILOG?

Zastępcy szefa DUSW Warszawa-Śródmieście ds. MO majorowie Henryk Plaskaty i Andrzej Szklarski, którzy w tych dniach dowodzili zabezpieczeniem obiektu, na gorąco dzielą się swoimi uwagami. Mówi mjr H. Plaskaty:

— Nie bardzo rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Zarzuca się milicji, że niby prowadzi włoski strajk, a tymczasem wiąże się jej ręce. Widzimy jak prawo dewaluje się z dnia na dzień. Wszystkie manifestacje mamy traktować jako pokojowe, lecz większość z nich zamienia się w burdy uliczne, a przecież nikt nie uchylił ustawy o zgromadzeniach. Szyby da się wstawić, ale największe straty jakie ponosimy, to straty moralne. Ludzie, którzy żądają od nas interwencji, mówią: „Jak wy sami nie możecie się obronić, to jak chcecie strzec nas?”. Ostatnio wstyd mi było się przyznać, że pracuję w tej „firmie”. Wiem, że młodzi funkcjonariusze z SOP nie chcą być tylko tarczą dla kamieni, obiektem kpiny i wyzwisk. Kilkudziesięciu z nich już złożyło raporty o przeniesienie do służby w jednostkach wojskowych.

Major Andrzej Szklarski dodaje:

— Milicja jest przygotowana do ukrócenia takich zadem w samym zarodku. Ale... musi czekać na decyzję. Grupy rozwydrzonych nastolatków czują ubezwłasnowolnienie milicji i swoją bezkarność, dlatego też cegłom i kamieniom trzeba postawić tamę, między innymi w postaci szybkich i zdecydowanych działań pododdziałów zwartych, tak jak to ma miejsce w demokracjach zachodnich. I jeszcze jedno: zastanawia nas milczenie środków masowego przekazu na ten temat. Czy znów w prasie, radiu i telewizji wracamy do koncepcji społeczeństwa jednolitego, bezkonfliktowego? A już nazwanie przez dziennikarza „Sztandaru Młodych” milicjantów rozpraszających zadymę „pałkarzami” świadczy o...

ZYGMUNT PODHORODECKI
zdj. Krzysztof Potocki
Krzysztof Mokrzyszewski

PSIE PATROLE

W związku z krytyczną sytuacją kadrową na Pradze-Północ kierownictwo resortu poleciło zasilić ten „gorący” rejon. Z całej Polski przybyli do Warszawy przewodnicy z psami służbowymi. Zakwaterowano ich w Zakładzie Treningu Psów Milicyjnych w Sulkowicach.

Okazało się, że na 24 przewodników psów tylko 14 jest przeszkolonych do tej pracy. Przez półtora tygodnia uczono więc podstaw w zakładzie w Sulkowicach wszystkich potrzebujących.

Rozpoczęły się normalne służby. Wydawało się, że wszystko pójdzie gładko, po dwóch miesiącach przewodnicy z psami pojadą do domów, a zastąpią ich inni. Tak się jednak nie stało. Delegowani funkcjonariusze oświadczyli, że nie odpowiadają im warunki finansowe, na jakich znajdują się w Sulkowicach, protestują i domagają się spotkania z przedstawicielami kompetentnych jednostek.

Wobec takiej sytuacji do zakładu udał się na rozmowę z protestującymi: naczelnik wydziału w Biurze Prewencji KG MO ppłk Jerzy Pecura i zastępca naczelnika Wydziału Prewencji SUSW — mjr Jan Czulkowski. Spotkanie rozpoczęło wzajemnym wyłożeniem swoich racji. Przewodnicy psów oświadczyli, że według ich wyliczeń na pobycie w Sulkowicach tracą około 400 tysięcy złotych miesięcznie.

Nie jako w odpowiedzi poinformowano, że SUSW wypłaca każdemu z nich rekompensatę w wysokości 100 tysięcy złotych miesięcznie. Przewidziane są również wysokie nagrody za wyniki w służbie.

Alle spotkanie z oficerami z KG MO i SUSW przewodników nie usatysfakcjonowało.

I kto jest winien tych nieporozumień?

Myślę, że najlepiej będzie zważyć wszystko na psy. Te się przynajmniej nie poskarżą.

CEZARY WOLIŃSKI

SEZAM

997

Jeszcze do niedawna 15 każdego miesiąca tłumy okradzionych warszawiaków kierowały się do DUSW Warszawa-Wola, przy ul. Żytniej, by na wystawie obfitującej we wszelkie dobra niewiadomego pochodzenia zakwestionowane przez funkcjonariuszy MO szukać szczęścia. Dziesiątki, a nawet setki osób odnajdywały tam swoje utracone podczas włamań przedmioty. Ich reakcje były różne, od euforii, okrzyków radości po przypadki omdlenia.

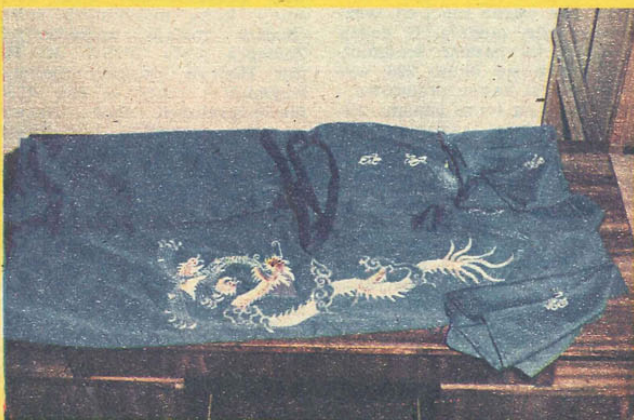
Na wystawie 15 marca br. nikt jednak nie zemdlął, ani się radował. Na dwóch skromnych stolikach milicjanci ustawili trzy radiomagnetofony, jakieś kalkulatory, pozłacany kielich, obok na wieszaku powiesili parę kuretek i to wszystko.

Dlaczego tak mało? Przyczyn jest mnóstwo. Nawał spraw, braki kadrowe, największa w historii przestępczość i najmniejsza wykrywalność. Ale główna przyczyna leży jednak gdzieś poza resortem i jego aktualnymi możliwościami. Kiedyś, jeszcze do niedawna, u pasera można było zakwestionować wszystko, co podejrzane. Dzisiaj potrzeba na to specjalnych zezwoleń, zgody prokuratora i to uzyskanej na konkretny przedmiot jeszcze przed przystąpieniem do przeszukania.

Liberalizacja prawa u nas już od dłuższego czasu działa nie tyle na korzyść okradanych, bitych i napadanych, co okradających, bijących i napadających, słowem, na korzyść wszelkiego rodzaju przestępców.

Dlatego też w naszym „Sezamie” coraz więcej jest spraw poszukiwawczych kosztem prezentowania przedmiotów niewiadomego pochodzenia odzyskanych od przestępców. By jednak nie popaść w skrajny pesymizm, zaczniemy od zaprezentowania naszym Czytelnikom kilku zdjęć odzyskanych przedmiotów

Jana B. zatrzymano na dworcu PKP w Szczecinie, w momencie gdy okradał podróżnych. Znalaziono przy nim prezentowane obok na zdjęciach przedmioty niewiadomego pochodzenia, stanowiące najprawdopodobniej własność klientów PKP, tzn. głównie ich bagaż. Są to m.in. kimono damskie, niebieskie z różnokolorowymi aplikacjami, zegarek elektroniczny męski marki „Chrochron” produkcji NRD ze srebrną bransoletą, kilka toreb podróżnych, kurtka zamszowa damska, brązowa, płaszcz skórzany męski zapinany na guziki i inne.



Milicjanci z Radomia z kolei weszli w posiadanie prezentowanych obok, niestety na zdjęciach czarno-białych, obrazów Juliusza, Jerzego i Wojciecha Kossaków. Pierwszy przedstawia 6 koni w ruchu, drugi stojącego konia, a w głębi siedzącego mężczyznę, trzeci dwóch żołnierzy; jeden siedzi na koniu, drugi stoi grając na bębnie.

Ponadto w Radomiu zakwestionowano jeszcze inne dzieła malarskie. M.in. obraz olejny Lessera przedstawiający żagłowiec i mała w nocy oraz akwarelę na tekturze, na której widnieje dorosła klacz z małym źrebakiem na tle meczetu, w lewym dolnym rogu widoczny jest podpis „Wojciech Kossak 1928”.



Leszek Ratomski



Jan Szymański

Wydział Kryminalny WUSW w Bydgoszczy na podstawie listu gończego wydanego przez Prokuraturę Rejonową w Chojnicach poszukuje podejrzanego o włamanie i kradzież maszyn marki Strobel wartości 70 mln zł na szkodę Spółdzielni Inwalidów „Równość” w Czersku widocznego na zdjęciu 36-letniego Leszka Ratomskiego. Wyżej wymieniony wraz z aresztowanym już Janem Szymańskim, którego zdjęcie również prezentujemy posługiwali się sfałszowaną legitymacją rzemieślniczą i w okresie od listopada do grudnia ub.r. prowadzili działalność przestępczą.

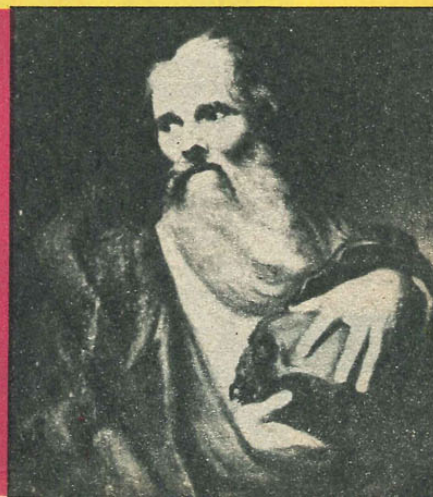
Podobną, choć w innej branży, działalność przestępczą, prowadziły prezentowane na zdjęciach poniżej osoby. Oferowały one po niższej od aktualnego kursu cenie dolary USA. Sprzedawały ich kilka tysięcy w Warszawie i na Wybrzeżu. Wszystkie są fałszywe. Wszyscy, którzy w ostatnim okresie kupowali banknoty z portretem Franklina czy Granta od zaprezentowanych na zdjęciach osób proszeni są o kontakt z najbliższą jednostką MO.



I na koniec jeszcze jeden obraz. Tym razem jednak nie będący w posiadaniu funkcjonariuszy MO, lecz skradziony z Domu Pracy i Wypoczynku Kultury i Sztuki w Radziejowicach w sierpniu ub.r. Obraz ten pochodzi z XVIII w., ma wymiary 87x68 cm, malowany jest na płótnie i posiada napis „SHS 383”. Przedstawia postać św. Hieronima.

Ktokolwiek mógłby udzielić informacji w prezentowanych powyżej sprawach, proszony jest o telefoniczny lub listowny kontakt z naszą redakcją, Departamentem Kryminalnym KG MO lub najbliższą jednostką MO.

TADEUSZ NOSZCZYŃSKI
reprodukcje Krzysztof Potocki i autor (7)



Węgry

W MILICYJNYCH SZKOŁACH

Szkoła Chorążych jest placówką szkolenia kadr średniego szczebla. Trafiają tu milicjanci, którzy mają za sobą co najmniej 2-3-letni okres służby, ukończyli szkołę średnią i zdobyli maturę oraz przeszli szkolenie podoficerskie. Absolwenci tej szkoły to przyszli młodzi inspektorzy. Po dziesięciu miesiącach, jako chorążowie, pracować mogą w charakterze dzielnicowych, inspektorów dochodzeniowo-śledczych i kryminalnych, na stanowisku zastępcy kierownika sekcji, czy dowódcy patrolu samochodowego. Tu także szkolili się słuchacze z jednostek służby bezpieczeństwa, ochrony granic i więziennictwa. Korzystając z pomocy komend wojewódzkich i ponad pięćdziesięciu zatrudnionych w czterech wydziałach nauczycieli w murach byłych koszar konnej żandarmerii kształcą się ponad tysiąc milicjantów rocznie, systemem kursów dziennych, wieczorowych i zaocznych.

Dr László Simon jest z wykształcenia prawnikiem. W stopniu podpułkownika milicji pełni funkcję komendanta szkoły. Jego zdaniem, uległ poprawie stan przygotowania słuchaczy i 70 proc. z nich odpowiada kryteriom. W szkole panuje czystość i dyscyplina, rzadko słychać śmiech. Większość słuchaczy ma ponad 25 lat, doświad-

czyła już tego i owego w trakcie służby.

Podczas wizytacji zajęć można spostrzec, że niektórzy czytają z trudem, inni zaś znakomicie formułują myśli, szybko kojarzą i natychmiast pojmują skomplikowane zależności prawa karnego. Sporo trzeba trudu nauczycieli, nim uda się wyrównać poziom. Mają łącznie 90 godzin kultury fizycznej w tym 60 na naukę samoobrony. W szkole chorążych słuchacze nie są już szkoleni z zakresu rozpraszania tłumów i „użycia” środków przymusu. Zakłada się, że opanowali to podczas wyszkolenia podoficerskiego. Całkowicie nową metodę wprowadzono też w nauczaniu zasad użycia broni służbowej. Na płóciennym ekranie wyświetla się realistyczne sytuacje, a milicjant musi rozstrzygnąć, kiedy powinien jej użyć zgodnie z prawem. W momencie strzału klatkę filmową zatrzymuje się, aby sprawdzić, czy postąpił prawidłowo.

Równie surowo wymagane jest opanowanie prawa i regulaminu służby. Dąży się do tego, by wobec słuchacza do głowy, że celem działania milicjanta jest słuszenie obywateli.

Kiedyś wiodącą rolę wśród przedmiotów nauczania odgrywało szkolenie polityczne. Podczas bytności w szkole węgierskiego dziennikarza, przyszłym chorążym wyświetlano na wideo przemówienie ówczesnego przywódcy WSPR Karolya Górsza. Celem zajęć społeczno-politycznych staje się obecnie zapoznanie milicjantów z bieżącą sytuacją polityczną i nauka orientacji w dżungli przepisów prawnych (niestety szybko zmieniających się), bo to o wiele bardziej przydaje się podczas służby niż — powiedzmy — doskonała znajomość najważniejszych wydarzeń międzynarodowego ruchu robotniczego.

Komendant wydaje się niezbyt szczęśliwy, gdy dziennikarz pyta

go o budżet szkoły. Wysokość budżetu, od lat zwiększająca się tylko nieznacznie, teraz ulega pomniejszeniu. Nie można więc zakupić niezbędnych, nowoczesnych pomocy naukowych.

Już od bram wyższej szkoły oficerów milicji wyczuwa się, że to jednostka zmilitaryzowana: rygor i ład. Olbrzymi park i stare budynki to obiekt poklasku, całość jakby zawieszona nad miastem. Znajdujemy się zaledwie o kilka metrów od wieży telewizyjnej, a czuje się tu inny, zamknięty świat.

Uczelnia ta, choć podporządkowana MSW, pełni rolę wyższej placówki oświatowej. Dlatego dr Tihamér Tóth — będąc docentem i zastępcą dyrektora nauk, jako pułkownik jest zarazem zastępcą komendanta szkoły. Od niego właśnie dowiadujemy się, że co roku promuje się tu na oficerów blisko dwustu słuchaczy dziennych, podobną ilość zaocznych, a także 50-60 osób z tzw. „poddyplomów”, czyli tych, którzy posiadają już dyplomy uczelni cywilnych i zostali przyjęci do służby w resorcie spraw wewnętrznych.

Placówka posiada właściwe warunki szkolenia zawodowego (bezpieczeństwo państwowe i publiczne, organizacja zarządzania, penalizacja), sale wykładowe i laboratoria wyposażone są bardzo nowoczesnie. Dziennikarz węgierski spotkał słuchacza z Jemenu Południowego, w stopniu majora, który pogłębiał swoją wiedzę kryminalistyczną. Dowiedział się również, że przed kilkoma laty Kuwejt pragnął przysłać swoich studentów opłacając ich naukę w dolarach, i to nie-
złe. Jednak pieniądze to nie wszystko. Zdecydowano, że pomagać trzeba zaprzyjaźnionym krajom — naturalnie bezpłatnie...

Przez wiele lat o przyjęcie do szkoły ubiegać się mogli wyłącznie ci, którzy posiadali maturę, nie byli karani, odbyli służbę wojskową, spełniali wymagania psychiczne i kryterium określonego stażu służby w jednostkach spraw wewnętrznych. W 1989 roku po raz pierwszy przyjęto także chłopców bezpośrednio po szkole średniej, jednak i oni muszą przejść najpierw szkolenie stopnia podstawowego.

Nauczanie w szkole oficerskiej łączy teorię z praktyką. Na przykład, niezbędny na co dzień regulamin służby przyswajany jest podczas regularnych patroli na wyodrębnionych obszarach szczególnego nasilenia ruchu turystycznego. Po drugim roku słuchacze kierowani są już do służby tam, gdzie — zależnie od kierunku studiów — trafiają po promocji. Najważniejsze jest praktyczne poznanie rozmaitych form pełnienia służby.

Wykładowcy doskonale wiedzą, że prestiżowi oficerów nie sprzyja aktualna kampania prasowa, której niewybredne ataki zalewają łamy wszystkich niemal pism. Tu, w szkole, panuje przekonanie, że bez współdziałania różnych grup społeczeństwa nie może być mowy o skutecznej ochronie jego interesów. Z tego względu zwiększać należy społeczną znajomość prawa, dążyć do tego, by znane były bodej podstawowe przepisy. W przeciwnym razie, milicjant wykonujący swoje obowiązki daremnie powołuje się na odpowiedni paragraf. Obywatel, jak na tureckim kazaniu, nie rozumie, co do niego mówią, a przez to łatwiej wkracza na drogę przestępstwa. Proces uświadamiania powinien rozpocząć się już w szkole, najlepiej podstawowej. Może wówczas zamiast zaostrzającej się konfrontacji, doszłoby do zgodnego dialogu — obywatela i milicjanta.

na podst. magazynu „Reform”
oprac. ELŻBIETA WRÓBEL

Szwajcaria



CO PIĄTY OBYWATEL W KARTOTECE

W demokratycznej, wręcz liberalnej Szwajcarii, doszło do afery. Okazało się bowiem, że federalna policja polityczna prowadzi kartoteki, w których stara się odnotować wszelkie podejrzenia czy choćby niekonformistyczne działania. Parlamentarna komisja dochodzeniowa ujawniła istnienie kartoteki z 900 tysiącami fiszek i ledwie opublikowała swój raport — wyszły na jaw nowe kartoteki: jedna obejmująca „podejrzanych” w wojsku, druga dotycząca kantonu Jury, który był terenem aktywności separatystów.

Kartoteki te nie miały legalnego charakteru, gdyż trafiły do nich obywatele niekarani, a jedynie podejrzeni o niekonformistyczne zachowania. Ponadto dla policji niebezpieczne było to, co łączyło się z postawą lewicową, choćby umiarkowaną, z kontaktami z krajami wschodnioeuropejskimi, przynajmniej natomiast oczy na ekstremizm prawicowy. Jedną piątą mieszkańców kraju znalazła się na fiszkach! Policja zachowała nawet kartoteki dzieci przysyłanych z zagranicy do Szwajcarii przez Czerwony Krzyż zaraz po wojnie na pobyt rekonwalescencyjny. Ten przykład ukazuje, że działalność policji nabrała charakteru maniackiego i takie-
go określenia używają w Szwajcarii dziennikarze i partie lewicowe.

Po drugie radcowie federalni, czyli siedmioosobowy rząd Konfederacji, nie bardzo wiedzieli o istnieniu tych kartotek i do niedawna prezydent Koller (który jest równocześnie szefem resortu sprawiedliwości i policji) publicznie wykluczył możliwość znalezienia nowych fiszek.

Prezydent Koller, (jego uczciwości nikt nie kwestionuje), zapowiedział już daleko idące reformy w celu zwiększenia kontroli rządu i parlamentu nad działalnością policji. Kartoteki i czujność policji dla ochrony państwa są potrzebne, lecz tę konieczną aktywność chce się sprowadzić do rozsądnych rozmiarów i uświadomić policji, że dotychczasowa działalność nosiła piętno czasów zimnej wojny, które odeszły w przeszłość. B.



NOWA USTAWA W SPRAWIE TAJNYCH SŁUŻB

Od 1 marca br. weszła w życie nowa ustawa dotycząca służb specjalnych określająca z większą precyzją zakres przywilejów i obowiązków brytyjskiego kontrwywiadu. Rząd powziął decyzję przedłożenia nowego projektu ustawy (zastąpiła ona dotychczasową z 1911 roku), po opublikowaniu kontrowersyjnych pamiętników byłego funkcjonariusza brytyjskich tajnych służb MI-5, Petera Wrighta, zatytułowanych „Łowca szpiegów” („Spycatcher”).

Nowa ustawa określa sześć kategorii informacji, których ujawnienie spowoduje pociągnięcie do odpowiedzialności członków tajnych służb. Chodzi o sprawy dotyczące takich sfer, jak: bezpieczeństwo, obrona, stosunki międzynarodowe, a także o informacje uzyskane od obcych rządów lub organizacji międzynarodowych bądź informacje, które mogłyby być wykorzystane w celach przestępczych. Powołany zostaje też niezależny organ kontroli, który badać będzie legalność operacji podejmowanych przez służby kontrwywiadu.

B.

KOMPUTEROWE WYPOSAŻENIE SŁUŻB SPECIALNYCH

Centralny komputer policyjny (PNC) rejestruje: pojazdy skradzione i obserwowane, poszukiwane i zaginione osoby, dane dotyczące przestępstw i przestępców, kartoteki odcisków palców, analizy wzorów zachowań przestępczych oraz przechowywane fotografie osób wraz z ich danymi (daje to możliwość odnalezienia poszukiwanego na podstawie rysopisu podanego przez świadka), posiada połączenie z sądami (celem bieżącego uzupełniania kartotek przestępców), jest dostępny dla radiowozów wyposażonych w końcówki komputerowe itp.

Brytyjskie służby specjalne wykorzystują następujące systemy komputerowe:

E-Fit; umożliwiające tworzenie portretu pamięciowego na podstawie opisu świadka.

FACES; ułatwia odnalezienie w fotokartotece twarzy widzianej przez świadka osoby. Komputer sam dokonuje selekcji wśród zakodowanych fotografii (zawiera 20 000 zdjęć) i prezentuje świadkowi 12 do wyboru.

PROD; wykonuje fotografie z taśm wideo i wprowadza do pamięci zdjęcia osób pozostających w zainteresowaniu służb specjalnych.

HOLMES; służy do przechowywania, odszukiwania i porównywania nazwisk, adresów, kodów pocztowych itp. System ten współpracuje z systemem podległym Ministerstwu Obrony i umożliwia systematyczną kontrolę interesujących osób.

KIRZ

W drugim, tegorocznym, numerze miesięcznika „Sowietskaja Milicja” zamieszczono artykuł o używaniu broni służbowej przez radzieckich funkcjonariuszy.

Opowiada Siergiej, milicjant służby patrolowej jednego z moskiewskich komisariatów: Dyżurny zawiadomił nas przez radiostację o kradzieży samochodu. Dokonali tego niebezpieczni przestępcy zabijając uprzednio właściciela. Ani ja, ani koledzy z milicyjnego moskiewicza nie spodziewaliśmy się, że bandyci znajdą się na naszej trasie. Tymczasem porwana przez nich łada przemknęła mi przed nosem. Wskoczyłem na tylne siedzenie radiowozu i ruszyliśmy w pościg.

Kierowca łady okazał się fachowcem, mimo że ciągle siedzieliśmy mu „na ogonie”, nie mogliśmy wyprzedzić wozu. Na szczęście w końcu przestępcy wpadli w jakiś zaułek i na ślepej ulicy stracili głowę. Przeciwnie im odwrót i zatrzymaliśmy ich po kilkunastu metrach pieszego pościgu.

Dlaczego nie strzelałem? Na trasie pościgu było dużo ludzi. Z samochodu niełatwo trafić. A jeśli ktoś postronny dostanie rękosz? Ponadto za każdy strzał trzeba u nas pisać kilka notatek, chodzić do prokuratora... W dodatku te zasady użycia broni... Miałem im krzyknąć z radiowozu ostrzeżenia, w powietrze strzelać?

Przestępcy w ZSRR są coraz częściej uzbrojeni. W praktyce co drugi z zatrzymanych posiada przy sobie broń lub niebezpieczne narzędzie. Co trzecie zabójstwo dokonywane jest z broni palnej. Dlatego też w ostatnich latach coraz częściej strzelają milicjanci. Ci z Moskwy w całym roku 1988 użyli broni 31 razy, w ciągu 9 miesięcy roku ubiegłego takich przypadków było już 181. W ciągu zaledwie jednego z ostatnich miesięcy — 41...

Oto historia kpr. S. W. Nicyporowa, milicjanta kompanii patrolowej 23 komisariatu DUSW w Tuszy: 27 sierpnia 1989 r. pełnił on wraz z funkcjonariuszami Ryczkowem i Łatyszewem służbę w pobliżu kina „Bałtyk”. Około godz. 21.00 piętnastoosobowa grupa podstępnych wyrostków rozpoczęła między sobą bójkę. Patrol próbował ich uspokoić. Chuligani oddali jednak Nicyporowa od kolegów i otoczyli go. Zaczęli wygrażać milicjantowi, chwytały go za mundur, próbowali mu wyrwać broń i pałkę. Jeden z nich krzyknął, że zarżnie milicjanta i włożywszy rękę do kieszeni zaczął napierać na Nicyporowa.

Funkcjonariusz uprzedził napastników, że może użyć broni. To nie poskutkowało. Wówczas wyrzucił w górę. W tym czasie na pomoc przybył radiowóz z trzyosobowym patrolem z 23 komisariatu. Funkcjonariusze wspólnymi siłami obezwładnili i zatrzymali 7 najaktywniejszych chuliganów.

BROŃ W RĘKACH MILICJANTA

Najczęściej bywa tak, że sam widok pistoletu w ręku milicjanta i odgłos jego odbezpieczania wystarczają, by pohamować napastników — stwierdza autor artykułu kpt. A. Aleksiejew. Niestety, coraz częściej zdarza się jednak, że dopiero odgłos wystrzału powoduje opamiętanie. Oto kolejny przykład:

Trzech przestępców dokonało rozbój na kobiecie w pobliżu stacji metro „Kijowska”. Zwróciła się ona o pomoc do milicjantów ochrony metra Końkowa i Newskiego. Posługując się podanym przez napadniętą rysopisem, wyłowili oni podejrzanym z tłumu i próbowali ich zatrzymać. Jeden z zatrzymywanych uderzył kilkakrotnie Końkowa w głowę metalowym pretem, po czym rzucił się na Newskiego, próbując go przewrócić. Funkcjonariusz krzyknął, że będzie strzelał, później oddał strzał ostrzegawczy. Jeden z napastników został zatrzymany.

Użycie broni było uzasadnione. Ale — pisze kpt. A. Aleksiejew — rodzi się pytanie: dlaczego chuligani mogą bić milicjanta i powstrzymuje ich dopiero wystrzał? Autor przypomina, że aby poznać zasady walki wręcz w zakresie samoobrony, potrzeba roku ćwiczeń. Jeszcze dodatkowe pół roku, aby móc poradzić sobie z 2—3 przeciwnikami. Przeprowadzono nawet eksperyment. Funkcjonariuszowi dobrze znającemu sambo wystarczyło 40 sekund, aby w praktyce pokonać ośro 4, przygotowanych według zwyczajnego programu, milicjantów.

Funkcjonariusze Milicji Radzieckiej do niedawna całą nadzieję pokładali w użyciu broni. Obecnie nauka walki wręcz jest

bardziej doceniana. Ale nawet z użyciem broni pozostały wciąż nie rozwiązane problemy.

Czy w każdym przypadku trzeba koniecznie oddać strzał ostrzegawczy, czy nie wystarczy okrzyk o możliwości użycia broni? — zastanawia się kpt. A. Aleksiejew. — Obecne zasady jej użycia powodują, że funkcjonariusze w ekstremalnych sytuacjach czują się zagubieni, boją się strzelać nawet wtedy, gdy jest to konieczne lub wskazane. Podobne problemy związane są z koniecznością udokumentowania każdego przypadku oddania strzału. Skąd wziąć świadków (koniecznych według przepisów), gdy stało się to w nocy, na przedmieściu, a milicjant sam jeden stanął naprzeciw napastnika?

Praktycznie w Moskwie każdego dnia rozlegają się milicyjne strzały. Dotychczas wszystkie przypadki użycia broni przez moskiewskich funkcjonariuszy uznano za zgodne z prawem. Ich działanie było rozsądne, oparte na przepisach. Ale — kontynuuje autor artykułu — jest też druga strona medalu. Ile razy milicjanci z powodu braku wiary w słuszność swego działania i strachu przed odpowiedzialnością nie użyli broni w przypadkach, gdy było to potrzebne? Ilu niebezpiecznych przestępców dzięki temu grasuje nadal?

Kpt. A. Aleksiejew sugeruje, że nawet na bazie aktualnych przepisów można okazać więcej zaufania funkcjonariuszom, a zwłaszcza przełożonym, którzy potrafią sprawiedliwie ocenić działania podwładnych w szczególnych sytuacjach.

oprac. MARCEL TABOR



10 PRZYKAZAŃ
POLICYJNYCH

4

Předwojenna prasa wileńska donosiła: „Organizowane przez policję odczyty cieszą się dużą frekwencją cywilnej publiczności. Wstęp na odczyt dla publiczności po 50 i 25 groszy. Dochód z odczytów przeznaczają się na Kasę Samopomocy Niższych Funkcjonariuszy Policji Państwowej XVI Okręgu Wileńskiego”.

Oto niektóre tytuły odczytów, połączonych z obrazami świetlnymi: „Policja a społeczeństwo”, „Gazeta Administracji i P.P. jako łącznik policji ze społeczeństwem”, „Lotnictwo jako warunek obrony państwa”, „Od czego zależy bogactwo narodów?”, „Duch obywatelski”, „Zagadnienia duszy ludzkiej w świetle najnowszych badań naukowych”.

Dziś, gdy nic nikomu się nie opłaca, pewnie taka akcja by się nie powiodła, bo organizator musiałby zapłacić astronomiczną sumę za wynajęcie sali, ale wówczas ów proceder był chyba korzystny, skoro kasa zapomogowa zarobiła tyle, że mogła sobie pozwolić na wydawanie „Kalendarza Powszechnego Informacyjnego P.P. Ziemi Wileńskiej”. Kalendarz przynosił jeszcze większy dochód i — żeby nie było nieporozumień — opatrzone były następującą informacją: „Czysty dochód z wydawnictwa przeznaczają się na szeroki rozwój pracy oświatowo-kulturalnej w szeregach Policji”.

Malkontentom, którzy zechcą zatruć mój klarowny wywód zastrzeżeniami typu: „Ejże, a kto im to drukował, przecież brak papieru, brak pieniędzy, brak drukarni, brak wszystkiego” już spieszę ze stosownym cytatem:

„Drukarnia i introligatornia „Znicz” Kasy Samopomocy Niższych Funkcj. P.P. Okręgu Wileńskiego, Wilno, ul. Świętojańska nr 1, wykonuje: dzieła, cenniki, akcje, broszury, podręczniki, koperty, czasopisma, kwity, afisze, blankiety, świadectwa, czek, cyrkularze, druki kancelaryjne, druki trój- i czterobarwne oraz wszelkie zamówienia na druki policyjne. Wykonanie staranne. Ceny konkurencyjne”.

Publiczny kalendarz na rok 1923, wydany w nakładzie 4000 egz. pod redakcją Tadeusza Bireckiego, komendanta Okręgowej Szkoły P.P. w Wilnie, zawierała treści bardzo urozmaicone. Na początku „Dziesięć przykazań policyjnych”: „Ja jestem służbą świętą, która wywiedzie naród Twój z niewoli zbrodni i występku, a domowi Obywatela zapewni spokój:

- 1) Nie będziesz miał nic innego przede mną;
- 2) Nie będziesz brał imienia mego na szkodę Państwa;
- 3) Pamiętaj abyś mundur swój czcił jako świętość i złym uczynkiem nie plamił;
- 4) Czcił, szanuj i broń praw obywateli i przełożonych Twoich, a Naród Twój będzie długo żył i dobrze będzie mu się powodziło;
- 5) Nie zabijaj krzywdą;
- 6) Nie szargaj świętości i honoru Twego;
- 7) Nie sprzedawaj się wrogom ładu i porządku publicznego;
- 8) Nie świadcz fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu Twemu;
- 9) Nie pożądasz sławy bliźniego Twego;
- 10) Ani stanowiska, ani stopnia; ani mienia, które jego są”.

Komendę Policji Państwowej w Wilnie w roku 1922 stanowiło 8 osób ścisłego kierownictwa oraz komendanci 8 komisariatów i 3 posterunków oraz kierownik ekspozytury

Urzędu Śledczego. Kalendarz przynosił dokładny wykaz kadry kierowniczej (łącznie z nazwiskami) także Okręgowej Komendy Policji XVI Okręgu Wileńskiego, która wtedy posiadała następujące działy: I — Administracyjny (4 referaty), II — Gospodarczy (5 referatów), IV — Urząd Śledczy, oraz: Inspekcję, Okręgową Szkołę Policyjną, Kontrolę Ruchu Kordonowego.

Kalendarz przynosił wielce skrócony kurs geografii, historii i literatury polskiej, na zasadzie pytań i odpowiedzi, a także liczne przepisy prawa administracyjnego, przepisy Policji Zdrowia (sanitarne), bogato ilustrowany dział literacki.

3 września 1922 roku odbyła się uroczystość poświęcenia sztandaru Policji Państwowej Ziemi Wileńskiej. Z jednej strony sztandaru lśnił biały orzeł i widoczny z daleka napis: „W obronie prawa i wolności obywatelskiej”, a z drugiej „Pod Twoją obronę” i wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Stosowna publikacja kończyła się stwierdzeniem: „Pod tym sztandarem stanąć może każdy prawy obywatel Rzeczypospolitej i czuć się dobrze, swojsko i pewnie”.

Komendant okręgowy P.P. wygłosił okolicznościowe przemówienie, w którym stwierdził m. in.: „Policja jest elementem społeczeństwa, jest jego częścią składową. Stosunki między policją a społeczeństwem powinny być oparte na wzajemnej ufności. Jakimże będzie policjant, stróż bezpieczeństwa publicznego, gdy widzi on, iż własne społeczeństwo odnosi się do niego z niechęcią i podejrzliwością? Równocześnie żołnierz policyjny powinien pamiętać o tym, że zawsze występuje jako przedstawiciel państwa i dlatego każdy krok jego powinien być nacechowany należytą uwagą, stanowczością i zrozumieniem swego obowiązku”.

Jak rozumiano wówczas praworządność? I na to pytanie kalendarz policyjny przynosi odpowiedź: „Państwem praworządnym jest takie państwo, w którym mocniejszy nie może uciskać słabszego, w którym jest silna władza, ale nie ma samowoli, a wreszcie w którym każdy może być pomny, co mu wolno a czego nie wolno, i co od niego się należy, bo ponad wszystkim, nad wszystkim jest prawo... Bo prawo jest jak wał ochronny, za którym przewala się rzeka ludzkiej chciwości i wszelakich złych popędów: gdziekolwiek go przerwać, to fala się rozleje precz i wszystko zniszczy, zamuli i zgnoi. Wszelkowi władztwu ludu nieklamanie jest tylko w praworządnym państwie i tylko w praworządnym państwie kwitnie prawdziwa wolność...”

Jakże współcześnie dziś brzmi cytowana w 1923 roku myśl Henryka Sienkiewicza: „Nasza społeczność odbudują przyszłe pokolenia — nie brzuchate, nie dobrodusze, nie gadatliwe, nie łase na rozkosze zmysłów i przyjemności życia, nie niby do wszystkiego dobre, a do niczego nie zdolne — tylko twarde, uporne, milczące, fachowe...”

oprac. HENRYK MAKARSKI

Zakład Karny we Wronkach, 4 września 1989 roku. W tym dniu upływa 7 lat od momentu ujęcia Jerzego Maliszewskiego, który w murach tego więzienia odbywał karę pozbawienia wolności.

Kiedy idę więziennym korytarzem, nieoczekiwanie dociera do mnie głos spikera z więziennego radiowęzła: „Witam wszystkich w poniedziałek... (muzyka)... Podajemy jadłospis na dzień dzisiejszy. Dla nie pracujących: śniadanie — zupa mleczna z makaronem, kawa słodzona, chleb 250 g, margaryna 25 g. Dodatki — metka — 100 g, pomidor. Obiad — zupa ogórkowa, ziemniaki, kaszanka, surówka z kapusty kiszzonej. Kolacja — kawa słodzona zabieleną, chleb 250 g, margaryna 25 g, jako dodatek ser twardy 100 g. Jadłospis dla pracujących: śniadanie — zupa mleczna z makaronem...”

Do pokoju wychowawcy, w którym siedzę, zostaje wprowadzony Jerzy Maliszewski. Kiedy melduje się w progu, uświadamiam sobie, gdzie ja naprawdę jestem. Witamy się. Początkowo nasza rozmowa się nie klei. Stopniowo jednak obaj się rozluźniamy.

— Dlaczego zaczął pan krać?

— Czy ja wiem? Kradłem nie dla wielkich pieniędzy, ale dla wrażeń, z głupoty.

— Co wówczas robił pan z pieniędzmi?

— Co akurat nam się podobało, to kupowaliśmy. Jakos wtedy te pieniądze się rozchodziły.

— Kiedy po raz pierwszy trafił pan do zakładu karnego?

— Jak miałem 17 lat.

— Czy wie pan o tym, że w latach osiemdziesiątych uważany był pan za najgroźniejszego przestępcę w Polsce?

— Znam groźniejszych, takich, co to zabijali ludzi za parę marnych groszy.

— Co było powodem, że zmienił pan nazwisko?

— Nierobisz niektórym kojarzyło się z bułmelantem i dlatego wybrałem panińskie nazwisko matki — Maliszewski.

— W latach 1970–73 włamał się pan do mieszkań członków korpusu dyplomatycznego i paru aktorów warszawskich, skąd znikło wiele cennych dzieł sztuki i biżuterii, oczywiście nie mówiąc o pieniądzach.

— To wszystko było robione z głupoty.

— Ale już wtedy pan i pańska grupa kradliście jak prawdziwi zawodowcy.

— Może. Jednak wiele z okradzionych przeze mnie osób wybaczyło mi to.

— Kiedy nadszedł w pańskim życiu taki moment, że już nie mógł pan wyczołgać się z drogi przestępstwa?

— Po pierwszej ucieczce z więzienia. Musiałem odtąd kraść, by utrzymać się na powierzchni.

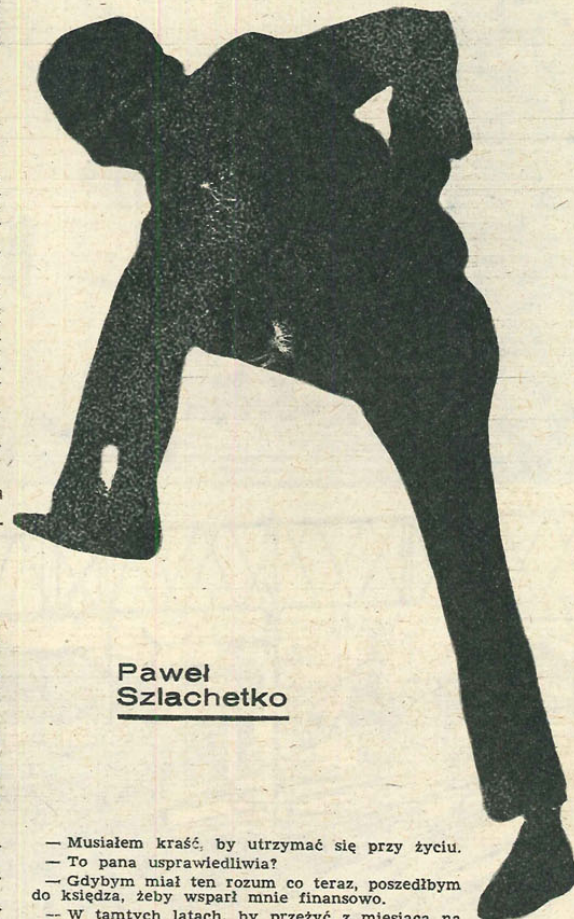
— Która z ucieczek najbardziej zapadła w pańskiej pamięci?

— Siedziałem wtedy w Płocku, na parterze, odizolowany od innych więźniów. Zauważyłem, że krata jest obluźniona. Inni skazani podali mi narzędzia. Pewnej nocy wyłamałem kratę i wyostałem się na więzienny dziedziniec. Budowano wówczas na nim jakiś pawilon. Wziąłem długą deskę i przystawiłem ją do muru więziennego. Wspiąłem się i zeskoczyłem na drugą stronę.

— Nie bał się pan, że strażnicy mogą otworzyć do pana ogień z karabinów maszynowych?

— Byłem przygotowany na wszystko. Zabijają mnie, to zabijają. Nareszcie, pomyślałem wówczas, będzie koniec tej męczarni. Byłem pod ostrzałem dwóch kogutów. Jeden oddalony był ode mnie gdzieś z pięćdziesiąt, drugi trzydzieści metrów. Gdyby oni nie spali, to zrobiliby ze mnie sito. Skoczyłem na zewnątrz. Miałem na sobie cywilne ubranie. Uciekałem w skarpetkach. Jak zaczęło się rozwidniać, zdałem sobie sprawę, że będą mnie szukać. Zagrzebałem się w śmieciach na wysypisku nad Wisłą. Przeleżałem tak cały dzień. Było wówczas bardzo zimno. Pod wieczór już myślałem, że jestem umierający. Nocą zapukałem do drzwi jakiegoś domu. Otworzyła mi starsza kobieta. Poprosiłem o pomoc. Po prostu zagrałem w otwarte karty. Powiedziałem: „Mateczko, potrzebuję pomocy, uciekłem z więzienia”. Ona zaprosiła mnie do środka. Dała mi jeść. Przyniosła ubranie po swoim mężu. Kiedy wychodziłem, poprosiła mnie, bym nikomu nie mówił, że udzieliła mi pomocy. „Mateczko — odpowiedziałem — tego mi nie trzeba mówić”.

— Czy bał się pan, że mogą użyć w stosunku do pana broni?
Rzecz jasna, oni rozwaliliby mnie bez dwóch zdań.
— W Warszawie zaopatrzył się pan w pistolet. Dlaczego?
— Bo zdawałem sobie sprawę, że milicja chce mnie zabić. A przecież wcale nie byłem taki groźny. Ja bym chodził sobie spokojnie i piętnaście lat, gdybym w swoim życiu nie spotkał konfidenta, który sprzedał mnie milicji.
— Nim to się jednak stało, to pan strzelał do milicjanta, a nie milicjant do pana.
— Kiedyś nie przyznawałem się do tego strzału. Teraz mogę powiedzieć — strzelałem do milicjanta. Byłem wtedy na ostatniej ucieczce. Szedłem sobie spokojnie. Nikogo, broń Boże, nie zaczęłem. I w „Sawie” tamten stanął na mojej drodze. Powiedział, żeby poszedł z nim do komisariatu. Wtedy pomyślałem, że za murem czeka mnie już powolne umieranie. I strzeliłem. Do normalnego człowieka bym nie strzelił, za Boga.
— Chodziły słuchy, że w tym czasie przygotowywał się pan do ucieczki na Zachód.
— Miałem taki zamiar, ale musiałem trochę pożyć w Polsce, bo miałem kilka spraw do załatwienia.
— Czy dokonywał pan wówczas włamań z myślą o zgromadzeniu kapitału na przyszłość?
— Chciałem mieć ze sobą trochę pieniędzy, żeby tam rozpocząć normalne życie.



Paweł Szlachetko

KASKADER

Potem jakoś udało mi się dotrzeć do swoich ludzi.

— Jak długo się pan ukrywał? Albo inaczej, jak długo udawało się panu wymykać z milicyjnych pułapek?

— Przez dwa lata.

— Czy prawdą jest, że w większości województw w Polsce miał pan swoje meliny?

— Milicja z tym przesadza.

— Czy słyszał pan jaką wówczas wyznaczono za pana nagrodę?

— Jakies kilkaset tysięcy złotych.

— Uśmieł się pan, że to za mało?

— Niektórzy mówili, że za mało.

— Mówiono wówczas o panu „Kaskader”. Uważał się pan za takiego człowieka?

— Byłem trochę wysportowany, to wszystko. Teraz zniszczyło mnie już więzienie.

— Czy nadal myśli pan o ucieczce?

— Do warunkowego zwolnienia zostało mi jeszcze dwa lata. Wiem, że jakby mi nawet dali sto lat pozbawienia wolności, to po piętnastu latach mam prawo wyjść na warunkowe zwolnienie. Gdybym teraz przeciął kratę i uciekł, to po tym jakby mnie złapali zgnilizbym w więzieniu. A jak trochę przychnę...

— Co zamierza pan robić na wolności?

— Chciałbym zająć się jakimś interesem.

— A potem?

— Chciałbym wyjechać z tego kraju, gdzie mnie prześladowano i zacząć nowe życie, przestać kraść.

— Mogłby pan powiedzieć kilka słów o swojej ostatniej ucieczce?

— Jechaliśmy wtedy z Wroniek do Warszawy na leczenie. Udało mi się zdobyć metalowy pręt i w czasie jazdy wyłamać zamek w drzwiach nysy. Wyskoczyłem na jezdnię. Wiedziałem, że mogę się zabić. Tylną szybę zachlapało błotem i nie widziałem czy ktoś za nami jedzie. Gdyby tak było, to zostałbym rozjechany jak żaba. Na szczęście jezdni za nami była wolna. Przy skoku bardzo się potuliłem. Ale jakoś się pozbierałem i uciekłem w las. Strażnicy zatrzymali samochód i zaczęli mnie gonić. Mieli długą broń. Jak nie mogłem już biec, skoczyłem do jakiegoś dołka i zagrzebałem się pod liśćmi. Tamci chodzili wokół mnie, czasem od kryjówek stali oddaleni o kilka kroków, na szczęście nie zauważyli mnie.

— Co pan robił w ciągu takiego dnia na ucieczce?

— Chodziłem do sklepu, do restauracji na obiady.

— Bawił się pan w lokalach?

— Nigdy tego nie robiłem. Do restauracji chodziłem tylko po to, by się najęść.

— Czy słyszał pan o tym, że inni przestępcy próbowali pracować na pańskie konto?

— Tak, pewnego dnia przeczytałem w „Expressie”, że jakoby okradłem pracownię dentystyczną na 1,5 kg złota.

— W latach osiemdziesiątych mówiło się, że ma pan wokół siebie kilka kręgów ochronnych.

— To wszystko sobie wydumała milicja. Czytałem gdzieś, że miałem podobno setki oddanych sobie ludzi rozsianych po całym kraju. Na pewno miałem kilka wiernych mi osób, ale to wszystko.

— Na wolności nie pękał pan przed nikim?

— Raczej nie.

— Ile pan w życiu ukradł pieniędzy?

— ...

— Czy było warto?

— Nie. Będąc na ostatniej ucieczce już nie okradłem mieszkań prywatnych. Brałem to, co państwowe, komunistyczne.

— Jaki był wówczas pański największy skok?

— Ten ze srebrem, które wzięłem z magazynów. Szło ono do galvanizerni. Tego były całe sztaby. Proszę teraz sobie wyobrazić, że ten, który najwięcej na mnie zarobił w tym czasie, sprzedał mnie milicji.

— Jak odbyło się pańskie zatrzymanie?

— Nawaliła nam w samochodzie opona. Nim zorientowałem się, co jest grane, miałem już do głowy przystawiony pistolet.

— Myślał pan wtedy, żeby sięgnąć po broń?

— Wiedziałem już, że jestem otoczony. Nie miałem najmniejszych szans. Podałem się. I wtedy zostałem ciężko pobity, skatowali mnie wówczas prawie na śmierć.

W naszą rozmowę nieoczekiwanie włączają się słowa spikera z więziennego radiowęzła: „Zapraszamy wszystkich na koncert życzeń... (muzyka)... Proszę o uwagę Jana... z pawilonu II. Nadeszły dla ciebie życzenia od Piotra... z pawilonu III. Oto treść życzeń. Janek, w dniu tak pięknym jak opuszczenie więzienia pragniemy ci życzyć wszystkiego najlepszego na wolności. Z serca też ci życzymy, abyś już tu nie wrócił, a życie z tamtej strony muru było dla ciebie spokojne i szczęśliwe...”

— Dużo pan mówi o tym, że to przez komunistów trafił pan do więzienia. Ale przecież pański wyrok odnosił się do popełnionych przez pana przestępstw kryminalnych?

— Czy chcę, czy nie chcę muszę być trochę politykiem.

— Nie zaprzecz pan jednak, że włamywał się do zakładów państwowych i mieszkań prywatnych?

— Musiałem kraść, by utrzymać się przy życiu.

— To pana usprawiedliwia?

— Gdybym miał ten rozum co teraz, poszedłbym do księdza, żeby wsparł mnie finansowo.

— W tamtych latach, by przeżyć z miesiąca na miesiąc potrzebne było zaledwie kilka tysięcy, a pan obracał milionami.

— Byłem młody i głupi, to mnie tłumaczy. Zdaję sobie sprawę, że popełniłem wiele złam i należy mi się kara. Uważam jednak, że jest ona zbyt surowa.

— Wie pan, że na motywach pańskiego życia powstał film „Zabij mnie gówno”.

— Tak, słyszałem.

— W świecie przestępczym Warszawy zdobył pan sobie miar i poważanie.

— Nie zasługuję na to.

— Jeszcze raz wracam do pytania. Co będzie pan robił na wolności?

— Najpierw będę próbował zapomnieć o tym koszmarnie, który przeżyłem za murami polskich więzień. Chcę żyć i oddychać czystym powietrzem. I zapomnieć... raz jeszcze zapomnieć.

*

Siedzący naprzeciw mnie więzień nie ma zamiaru robić z siebie wielkiego przestępcy. Popełnił w życiu wiele błędów, za które przyszło mu teraz płacić. Jest skromny. Może budzić sympatię. Kiedy słyszę, jak mówi o swojej wierze w przedterminowe zwolnienie, słyszę w jego głosie nadzieję na nowe jutro. Życzę mu tego z serca. Życzę mu zapomnienia o złym, które minęło i wyprostowania swej przyszłej życiowej drogi.

*

Z listu Jerzego Maliszewskiego, który otrzymałem po przeprowadzonej z nim rozmowie: „Nie uważam się za najgroźniejszego przestępcę, bo są ode mnie groźniejsi. Ja nie zaczęłam ludzi i nie zabierałam pieniędzy. A są tacy, którzy za parę złotych walą człowieka w łeb i potem rozglądają się za następnym. Ja nie byłem bandytą, tylko włamywaczem. Na swoje usprawiedliwienie mam to, że ja byłem w nieszczęściu, bo musiałem się ukrywać. Musiałem coś ukrąść, bo bym zdechł pod płotem z głodu. Nie mogłem stąd wyjechać, bo bałem się, że mnie złapią na granicy”.



Brudni, agresywni, ordynarni. Pili wódkę i grali w tysiąca. Przegrany musiał rozebrać się do naga i przedelfilować przez korytarz wagonu. Oburzonym kobietom grozili wyrzuceniem z pociągu. Na dworcu w Lublinie odtanężyli pijany taniec zwycięstwa. Zamiast na mecz Jegiellonii, trafili do izby wytrzeźwień, później do aresztu. W grupie zatrzymanych na dworcu kibiców-chuliganów był 15-latek z Lublina. Powiadomiony telefonicznie ojciec przyjechał natychmiast. Zdjął pasek i zdrowo werzył synowi w siedzenie: „Widzisz jak to boli, a przecież mój pas jest bez ćwieków!” Nazajutrz chłopiec przyszedł przeprosić milicjantów.

— Gdyby inne pieszczoszki miały takich ojców, dzieci nie musiałyby osobiście poznawać milicjantów — mówi komendant Komisariatu Kolejowego MO w Lublinie kpt. Jan Nalewajk. — Młodzież, a nawet dzieci spędzają nam sen z oczu.

Spotkaliśmy trzech 9-latków, gdy układali kamienie na szynach. Wspólnie z SOK wystosowaliśmy pismo do dyrekcji szkoły, powiadomiliśmy rodziców. Po kilku dniach złapaliśmy tych samych chłopców podczas okradania wagonów towarowych z części do maszyn rolniczych. Albo dwóch małych kieszonkowców o dużych kwalifikacjach, wortalionowych kurtkach z odpowiednio spreparowanymi kieszeniami. Żadna z dziesięciu ofiar, obrobionych przez Krzysia i Jarka na dworcu, nawet nie poczuła, gdy ich portfele zmieniły położenie, by ostatecznie wylądować za sedesem w męskiej ubikacji.



**POCIĄG
do pociągów**

Przestępstw coraz więcej; wzrosły o 137 proc. w stosunku do ubiegłego roku. Oprócz chuligaństwa i okradania podróżnych równie dokuczliwe dla załogi komisariatu jest okradanie przesyłek towarowych. Dlaczego dostępu do wielomilionowego ładunku broni tylko plomba na 5-milimetrowym drucie, a np. samochody i ciągniki są przewożone na odkrytych platformach bez żadnego zabezpieczenia? Dlaczego kolei bardziej się opłaca uiszczać milionowe odszkodowania niż uruchomić regularne drużyny konduktorskie? Czy dlatego, że — jak twierdzą milicjanci statystycy — ponad połowę sprawców tych przestępstw stanowią kolejarze lub osoby związane z PKP? Przykłady można wymienić bez końca. Oto czterech kolejarzy swoje narzędzia pracy, czyli drążki manewrowe, zamienili w narzędzia przestępcstwa; zrywali nimi plomby i to w biały dzień. Okradali też kontenery z mieniem przemieszczającym się w ZSRR. Trzy kontrolerki wagonów Stacji To-

komisariatów tylko przewinę, bez funkcji dochodzeniowej. No dobrze, możemy nie prowadzić dochodzeń i wszystkie sprawy przysyłać do RUSW czy WUSW. Ale kto tam na górze zna się na zwalczaniu przestępczości kolejowej? Skoro tak banalną sprawę, jak wypadek na moście kolejowym musieliśmy przejąć, na prośbę prokuratora, od kolegów z ruchu drogowego, to co będzie w poważniejszych przypadkach?

Od ponad 20 lat nie organizuje się żadnych kursów specjalistycznych i nic dziwnego, skoro problematyką kolejową w stolicy zajmuje się tylko jeden pracownik Biura Prewencji KG MO. Aż jeden, bo w Lublinie i tego nie ma. Swego czasu zlikwidowano ogniwo kolejowe w byłej KW MO i nie bardzo wiadomo, co począć z tą kolejową milicją, zmieniała się więc jej podległość.

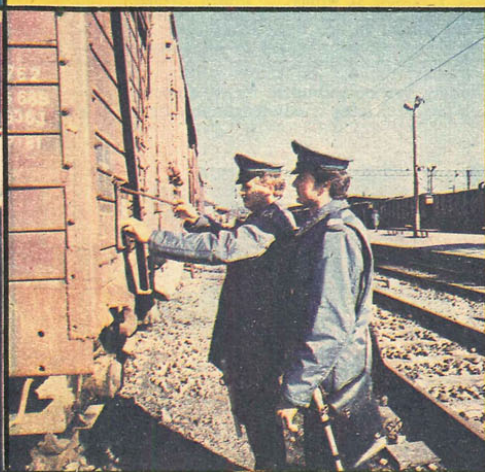
— Podlegamy pod RUSW w Lublinie, zatem nasze działania mogą sięgać tylko granic rejonu, ani kroku dalej. Oznacza to, że teren kole-

znaczny Irena W. z Poznania (obecnie: Adam W.) nigdzie teraz nie zameldowana. Jest w szoku wywołanym operacją zmiany pici.

Wspinamy się na I piętro nastawni dysponującej LBB. Pani dyżurna („dyżurny jestem!” — poprawia mnie) Anna Rosiecka uważnie obserwuje zielonkawą ekran, na którym dokładnie widać wyrzys wszystkich torów stacji osobowej pozaklasowej Lublin oraz parku postojowego wagonów. Ruch każdego wagonu widać na podświetlonej tablicy.

Na peron drugi wtacza się pociąg z Lipska. Pijanych kontrahentów niewielu, żadnego zgłoszenia o kradzieży, możemy odsapnąć przy fasolce po bretońsku w bufecie „Wars” za 3700 zł za porcję rzadkiej berbeluchy... Tu się żywi milicja.

Zwracam uwagę na oryginalny kształt raportówek kolegów z komisariatu. Są to raportówki z wmontowaną radiostacją. To nie tylko wygodą, swobodą, ale i ochroną radiostacji. Okazuje się, że w roku 1987 dyżurny Komisariatu



warowej Lublin-Tatry lustrowały odjeżdżające składki i... kradły. Jedną z najbardziej obrzydliwych kradzieży było splądrowanie wagonu z towarami dla ofiar trzęsienia ziemi w Armenii; sprawcy zabrali kurtki męskie, koszule flanelowe i 3000 opakowań biseptolu, wybebeszając przy tym wszystkie (!) paczki. Wiele wskazuje na to, że i tym razem rabusiami są osoby związane z PKP.

— Służbę patrolową moi ludzie często pełnią pojedynczo, co jest niezgodne z przepisami i niebezpieczne. Bo i kto ma nam pomagać, SOK też boryka się z brakami kadrowymi, ograniczając się do ochrony doraźnej, na stacjach docelowych — wyjaśnia kpt. J. Nalewajek.

— Z milicją współpracuje nam się dobrze — podtrzymuje pozory optymizmu komendant rejonowy SOK Jan Kowal. Wymienia przykłady wspólnych sukcesów np. zatrzymanie sprawców kradzieży silników do leylanda czy zatrzymanie chłopów spod Lublina, kradnących szyny na budowę obory, albo pijanego konduktora wagonów sypialnych, który próbował przekupić sokistów dolarami i markami RFN. Wyławianie poszukiwanych nieletnich to chleb powszedni. No i w ogóle jest potrzeba współdziałania MO i SOK.

— Dziwny jest status kolejowej milicji. Z konieczności musimy być samoukami, bo nawet w resortowych przepisach brak jest zakresu działania jednostek kolejowych... — uśmiecha się komendant i opowiada, jak to w roku 1977 opracowano projekt takowego zakresu; nie został wtedy zatwierdzony i tak pozostało.

— A projekt zmian w resorcie, opracowany w KG MO jest nie dopracowany. Brak nie tylko problematyki kolejowej, ale w ogóle szczegółów organizacji jednostek tzw. dołowych; nie widać policyjnego robotnika. Przewiduje się dla

jowy od Zemborzyca po Stalową Wołą (90 km) jest, praktycznie, bezpański, bez nadzoru MO; podobnie w kierunku Warszawy: raj dla przestępców od Sadurek do Dębina (50 km), bez możliwości współpracy z sąsiednimi jednostkami kolejowymi MO... — denerwuje się kpt. Nalewajek.

Trudno uwierzyć, ale w systemie zarządzania znowu zabrakło miejsca dla jednostek kolejowych. Pozostawieni samopas nad torami funkcjonariusze Komisariatu Kolejowego MO muszą sobie radzić sami. Przydaje się kolejne doświadczenie komendanta (prawie 20 lat służby w tej jednostce), energia zastępcy 38-letniego por. Janusza Cękalskiego (długoletnia praktyka operacyjna w pionie pg, praca dyplomowa napisana w ASW na temat ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego na obszarach kolejowych) oraz rutyna tych, którzy w kolejowej milicji pracują co najmniej 20 lat: mł. chor. Antoniego Bazelana, chor. Henryka Maziarza, mł. chor. Czesława Zawadzkiego i st. sierż. sztab. Zygmunta Wolińskiego. Służba w tym komisariacie wymaga takiej samej ruchliwości, jaką wykazują złodzieje. A ruchliwość bez fachowości nie ma sensu; wiedzą o tym młodzi milicjanci; połowa załogi nie zaliczyła jeszcze 5 lat służby.

Dzwoni telefon na biurko komendanta Nalewajki. To kierownictwo RUSW wzywa. Zabieram się więc z sierż. Stanisławem Kraczkiewiczem i st. kpr. Jackiem Iwaniukiem w obchód dworcowych zakamarków. Babcia „Europa” śpi na parapecie; pewno odpoczywa po podróży do Wrocławia, gdzie oddaje synowi użebrawione złotówki i swoją rentę. Znika gdzieś babcia „Muzykantka”, wygrywająca na szkolnych cymbałkach historyczne przeboje, pewnie poszła do baru na zupkę „kuronówkę”. Zamiast niej błąka się po hali kasowej „kobieta z brodą”, to

Kolejowego MO w Lublinie mł. chor. Czesław Zawadzki opracował taki wniosek racjonalizatorski. Został on poparty przez Wydział Łączności WUSW. Niestety, utknął w Warszawie.

— Nie zrażamy się niemrawością jednostek nadrzędnych — zapewnia po powrocie kpt. J. Nalewajek. — Mamy kilka niezłych pomysłów. Będziemy planować służby referentom nie tylko w godz. 8.00—16.00, ale i w nocy, taka jest potrzeba.

I jeszcze jeden pomysł. Mamy problemy z pokrzywdzonymi cudzoziemcami, chodzi o barierę językową. Bo kto dziś namówi tłumacza-biegłego sądowego, by prawie za darmo świadczył usługi? A przecież w RUSW i WUSW mamy funkcjonariuszy, którzy po zdaniu egzaminu państwowego biorą dodatek za znajomość języków obcych. Niechże ktoś zorganizuje im dyżury np. w WUSW, takie pogotowie językowe, by zwykły milicjant wiedział, gdzie może się zwrócić w razie pilnej służbowej potrzeby.

— Jednocześnie trzeba zmienić system rozliczania milicjantów z wyników pracy — wtrąca referent mł. chor. Antoni Bazelan. — Rozlicza się milicję z wykrywalności, a prokuraturę z przerobowości. Powinno być odwrotnie, jeśli obraz przestępczości w kraju ma być prawdziwy, a praca MO oceniana rzetelnie.

W Komisariacie Kolejowym MO w Lublinie wyczuwa się oczekiwanie na to, co przyniesie samorząd terytorialny, jednak z głębokim przeświadczeniem, że dotychczasowe formy walki z przestępczością są słuszne, warte kontynuowania.

HENRYK MAKARSKI
zdj. Krzysztof Mokrzyszewski

Nie tylko dla mężczyzn

Powszechna dostępność broni gazowej stała się jednym ze znaków czasu. Do niedawna przemykana z zagranicy lub kupowana nielegalnie u pokątnych handlarzy, teraz leży na wystawach sklepów.

Coraz częściej słyszy się jednak o rozbojach dokonanych przy użyciu gazu obezwładniającego. W wyniku strzału z gazowego pistoletu stracił niedawno oko podejmujący interwencję funkcjonariusz milicji. Poza tym — broń gazową trudno rozpoznać na pierwszy rzut oka, robiona jest bowiem na wzór prawdziwej.

Zanim padnie

STRZAŁ

mi oczami wpatruje się w reklamowy katalog z różnymi rodzajami broni.

— Znam je wszystkie — oświadcza głośno. — Strzelałem z nich, ale prawdziwymi nabojami, nie gazowymi. Rozpoczęła wykład na temat broni strzeleckiej. Od razu widać, że zna się na rzeczy. Nawet sprzedawcy patrzą na niego z szacunkiem. — Ten pistolet jest najlepszy — oświadcza nagle wskazując na fotografię broni P-38 „Walther”. — Znał jej jeszcze z czasów II wojny. — Proszę zwrócić uwagę na jego charakterystyczną lufę. Celować z niego do kogoś, to tak, jakby skazywać na śmierć. Najchętniej kupiłbym broń na ostre naboje. Psa obronnego już mam...

Jak widać, towar wzbudza różne emocje. Jednak tylko w jednej z odwiedzanych firm

Opopycie świadczy ogromne zainteresowanie. W nowo otwartym sklepie, którego numer telefonu podano w prasie, sprzedawca nie ma prawie czasu na obsługę klientów, gdyż nieustannie dzwoni zainstalowany w pomieszczeniu aparat.

— Przecięcie jeden telefon na minutę — stwierdza patrząc na zegarek. — Trzeba będzie to inaczej zorganizować — dodaje z widoczną troską o klienta.

— Do chwili obecnej wydano około 30 koncesji upoważniających do obrotu bronią gazową w Warszawie — informuje naczelnik wydziału Biura Informacji i Planowania Działalności Milicji Obywatelskiej płk Krzysztof Zagożdżiński. W skali kraju ponad 100. Aby nabyć legalnie broń gazową na terenie Polski, należy zwracać się wyłącznie do firm posiadających taką koncesję. Wszelkie inne działania są sprzeczne z prawem.

Największym zainteresowaniem cieszą się pistolety i rewolwery produkcji RFN. Towar włoski, również dostępny na polskim rynku, wzbudza kontrowersje, ale „idzie”, bo jest tańszy.

Sprzedawca w eleganckim sklepie na Grochowie oświadcza, że poleca zgrabnego „Lugera”. Gdy chce go wziąć do ręki, grzecznie, ale stanowczo odmawia. Musi być zezwolenie na zakup. Stojący obok mnie klient dziwi się.

— Na Zachodzie nie ma takich ograniczeń — mówi z dezaprobatą.

— Nie wymyśliłem tych przepisów, ale muszę ich przestrzegać — sprzedawca ucina dyskusję. — Gdybym chciał wdawać się z każdym w rozmowę na ten temat, nie starczyłoby mi czasu — komentuje po wyjściu klienta. — Ludzie jeszcze nie rozumieją, że to nie zabawa.

To prawda. W innym sklepie jakaś elegancka pani długo peroruje na temat braku swobód obywatelskich, co wynika z tego, że sprzedawca żąda od niej zezwolenia na zakup miotacza gazowego.

— To przecież moja sprawa — twierdzi

oburzona. — Jestem dorosła i odpowiadam za siebie.

Ktoś pyta o paralizator elektryczny. Kierownik sklepu kręci głową.

— Tego nie prowadzimy.

Artykuł 7 ustawy z 31 czerwca 1961 r. o broni, amunicji i materiałach wybuchowych stanowi, że pozwolenie na broń nie może być wydane osobom poniżej lat 18, chorym psychicznie, narkomanom i nałogowym alkoholikom, osobom nie posiadającym stałego miejsca zamieszkania, ustalonego źródła utrzymania oraz osobom, co do których istnieje obawa, że użyją broni w celach sprzecznych z interesem bezpieczeństwa państwa lub porządku publicznego.

— Powyższe uwarunkowanie zostało rozszerzone przez ministra spraw wewnętrznych na wszelką broń gazową i alarmową — mówi naczelnik Zagożdżiński. — Oczywiście, każde rozwiązanie ma swoje dobre i złe strony. Państwo, które zdecydowało się na udostępnienie jakiegos rodzaju broni obywatelom, musi być przygotowane na ponoszenie z tego tytułu następstw, nie zawsze pożądaných.

Środkami, które mają chronić przed owymi „nie zawsze pożądanymi” następstwami są sprawdzenia dokonywane przez lokalne urzędy spraw wewnętrznych w stosunku do każdego potencjalnego nabywcy. Wysła się więc w każdym przypadku zapytanie o karalność do Centralnego Rejestru Skazanych i przeprowadza wywiad środowiskowy.

— Funkcjonariusz wydający pozwolenia może zażądać od potencjalnego nabywcy wykazania umiejętności posługiwania się bronią — uzupełnia płk Zagożdżiński. — W ewidentnych zaś przypadkach — nawet orzeczenia komisji lekarskiej o zdrowiu psychicznym.

Skład broni gazowej i myśliwskiej na periferiach Warszawy. Napis na furtce informuje: „Załatwiamy tylko po dwie osoby”. Reszta czeka cierpliwie za bramą. Wreszcie, można wejść. Razem ze mną staje przy ladzie mężczyzna o niepokojącym wzroku. Pałający-

JAK NABYĆ PISTOLET GAZOWY?

Wychodząc naprzeciw dużemu zainteresowaniu Czytelników nabyciem broni gazowej podajemy kolejność załatwiania formalności związanych z jej kupnem i posiadaniem:

1) Sporządzić należy zaadresowane do szefa miejscowego (rejonowego, dzielnicowego lub miejskiego) urzędu spraw wewnętrznych podanie o wydanie zezwolenia na zakup broni gazowej, z wyszczególnieniem jej ilości i rodzaju (miotacz lub pistolet), oraz krótkim uzasadnieniem.

2) Złożyć podanie we wspomnianym DUSW, RUSW lub MUSW (uwaga! — obowiązuje kalkulatorowa opłata skarbową) i zgłosić się po zgodę na kupno w wyznaczonym terminie.

3) Z otrzymaną zgodą na zakup (tzw. promesa) udać się do wybranej firmy i nabyć broń.

4) Z zakupioną bronią niezwłocznie zgłosić się ponownie do tego samego urzędu spraw wewnętrznych celem zarejestrowania jej i uzyskania zgody na posiadanie (chodzi tu o konkretny, nabyty egzemplarz — marka, nr fabryczny itp.).

Nie obowiązują natomiast żadne pozwolenia wydane w kraju tych, którzy chcą przynieść broń gazową z zagranicy. Jedyną formalnością wymagana po zakupie broni za granicą jest zgłoszenie się z nią do urzędującego tam polskiego przedstawicielstwa konsularnego (w przypadku Berlina Zach. — Polskiej Misji Wojskowej), celem uzyskania poświadczenia zakupu. Na podstawie tego dokumentu wwozi się broń. Jednak w ciągu 14 dni należy udać się z wydanym w konsulacie zaświadczeniem do odpowiedniego terenowego urzędu spraw wewnętrznych, aby uzyskać zezwolenie na posiadanie przywiezionego egzemplarza.

Warunki posiadania zezwolenia na broń (w tym także gazową) określa ustawa z 31 czerwca 1961 r. o broni, amunicji i materiałach wybuchowych. Jej uzupełnieniem jest rozporządzenie ministra spraw wewnętrznych z 12 grudnia 1986 r. w sprawie rozszerzenia niektórych przepisów ww. ustawy na pistolety, rewolwery i inne przedmioty do miotania chemicznych środków obezwładniających oraz odstraszających amunicji alarmowej i sygnałowej.

C.W.

znalazłem wyłożone na ladę ogólnodostępne druki z następującym ostrzeżeniem:

„Proszę nigdy lekkomyślnie nie celować do ludzi, nawet jeżeli broń jest nie nabita. (...) Przy nieodpowiednim obchodzeniu się z bronią może ona zagrozić zdrowiu użytkownika i innych osób. Proszę zawsze tak trzymać broń, aby nie zagrażać sobie ani osobie niezainteresowanej, gdyż zbyt mała odległość strzału (poniżej 1,5 m) może spowodować ciężkie obrażenia. Ze względu na niebezpieczeństwo nigdy nie powinno się nosić broni z pociskiem w lufie!”

Czy jednak wszyscy o tym wiedzą?

W sklepie na Starym Mieście sprzedawca ze zjawstwem prezentuje kolejne rodzaje rewolwerów i pistoletów gazowych. Oprócz mnie przygląda się temu w milczeniu jeszcze dwóch mężczyzn. Na widok pistoletu o kalibrze 12 mm jeden z nich ożywia się.

— Ale armata — mówi z uznaniem. — Na 15 metrów powali trzy osoby.

— To legenda — oponuje sprzedawca. — Znaczący skutek osiąga się do 5–6 metrów. Trzeba więc uważać, aby nie strzelać ze zbyt małej odległości.

— Słyszałem, że z bliska najlepiej strzelać w brzuch — wtrąca drugi klient.

Sprzedawca (cierpliwie):

— Z bliska nie wolno strzelać. Można komuś zrobić krzywdę.

Klient z przekonaniem:

— Zrozumiałe. Przecież chodzi o efekt.

Czy udostępnienie broni gazowej obywatelom wpływa na zwiększenie bezpieczeństwa na naszych ulicach, czy wręcz odwrotnie? Na to pytanie nie ma jeszcze odpowiedzi. Nie udało mi się również ustalić, jak znaczny statystycznie jest wzrost przestępczości z użyciem broni gazowej. Okazuje się, że w milicyjnych rejestrach nie odnotowuje się takich przestępstw oddzielnie. Z punktu widzenia prawa figurują one w katalogu czynów dokonanych przy użyciu „niebezpiecznego narzędzia”.

Naczelnik Zagożdżiński jest zdania, że nie ma potrzeby zmieniać obowiązujących uregulowań prawnych. Trzeba tylko bardziej wnikliwie sprawdzać potencjalnych nabywców. Należy też konsekwentnie trzymać się obowiązujących przepisów, aby nie było takich sytuacji, jak ostatnio w Warszawie, gdzie wydano pozwolenie na broń osobie karanej za przestępstwa przeciwko mieniu.

Poglądom tym nie sposób odmówić słuszności. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że większość przestępstw z użyciem broni gazowej sprawcy popełniają posługując się towarami zakupionymi nielegalnie na wszelkiego rodzaju bazarach, targowiskach i giełdach, a więc — nie rejestrowanych. Czy nie pora zatem, aby wypowiedzieć bezwzględna wojnę zjawisku pokątnego handlu pistoletami i rewolwerami na gaz? Na razie kwitnie on prawie oficjalnie na „Skrze”, Bazarze Różycyńskiego i wielu innych miejscach w całym kraju. Sprzedawcy, z reguły przemysłowcy lub nielegalni pośrednicy, czują się bezkarni, a przecież spora część oferowanego przez nich asortymentu służy za narzędzie przestępstwa. Im nie zależy, w czyje ręce trafi oferowany przez nich towar.

W koncesjonowanych sklepach rzecz ma się jednak inaczej. Tu sprzedawcy reprezentują wysoki poziom wiedzy fachowej i mają pełną świadomość czym handlują. Usiłują przekazać ją również klientom, lecz nie zawsze to się udaje. Widok oksydowanych luf zbyt często jeszcze wyzwała w niektórych chłopięce tęsknoty za zabawą w „postrzeliwane”. Należy mieć nadzieję, że jest to syndrom przejściowy, gdyż westernowe marzenia kończą się, gdy w grę wchodzi rzeczywistość.

CEZARY WOLIŃSKI

zdj. Krzysztof Potocki

Dwustrzałowy „Umarex” idealnie pasuje do kobiecej dłoni. Z łatwością znika i w kieszeni wdzianka, i w małej torebce. A jednak kaprysów płci pięknej nie sposób przewidzieć. Pewna pani zażyła sobie „kopyto” o kalibrze 0,45 cala.

— Prawdziwą armatę! — śmieje się Czesław Stanosz, do niedawna milicjant, dziś dyrektor Zakładu Asekuracji i Ochrony Mienia „Suma”, zajmującego się sprzedażą broni gazowej. — Skuteczność ma taki pistolet ogromna, ale jest ciężki i nieporęczny w użyciu. To oręż szpanera o posturze kowboja i na dodatek z workiem pieniędzy.

W placówkach spółki „Uniset”, na ulicy Kłonowej w Katowicach i Dzierżyńskiego w Chorzowie, sprzedano dotąd ponad pięćdziesiąt pistoletów. Poszły jak gorące pieczywo. Wśród nabywców przeważają taksówkarze, rzemieślnicy, właściciele kantorów wymiany walut, dyrektorzy.

— Nie pytamy klientów o motywację skłaniającą ich do tego kroku, tylko prezentujemy odpowiednią ofertę — dyrektor sięga po barwny katalog firmy „Reck International”. — Człowiek przychodzi, ogląda, zamawia. Najczęściej rewolwery, „Recki”, „Mausery”, „Browningi”. Stosunkowo okazale, wygodne we władaniu, bez ryzyka zacięcia. Jeżeli chodzi o kaliber, nieustannym popytem cieszą się „dziewiątki”. Kobiety wybierają lśniąca cacka, takie jak sześciomilimetrowy „Umarex Derringer Chrom”.

Pistolek „Reck” model „G 5”, kaliber 8 milimetrów, kosztuje według katalogu 80 marek zchodnioniemieckich. „Reck PK-800” już 179 DM, a „Commandor” — 189. Jak widać są przeznaczone dla osób o zasobniejszych portfelach, ale różnica nie leży jedynie w cenie. Droższe są na pewno starannie wykonane, precyzyjniej wykonane i bardziej niezawodne w działaniu.

— Pobieramy opłaty w złotych — informuje Andrzej Płuciński, emerytowany chorąży MO, który w spółce znalazł szansę wykorzystania swych kwalifikacji i niezłych zarobków. — Za najczęściej kupo-

CZAS REWOLWEROWCÓW



wany typ żądamy 980 tysięcy złotych. Mnożąc cenę katalogową przez aktualny kurs marki, wychodzi, że powinien kosztować 720 tysięcy. Czy zatem nie przesadzamy zabierając 250 tysięcy dla siebie? Nie, jeżeli uwzględnić koszty podróży do RFN, paszportu, wizy, ubezpieczenia, pozwolenia konsularnego na przewóz broni przez granicę, wreszcie cla. W „sumie” nabywca wydaje mniej niż gdyby specjalnie wybrał się po pistolet na Zachód. Zresztą włoskie „Umarexy” można posiąść już za 600 „patyków”. Właścicielem „Magnum” nie zostanie się jednak bez... bagatela, 3 milionów złotych. Do tego dochodzą koszty naboju. Od 10 do 16 tysięcy za sztukę.

Decyzje dotyczące dysponowaniem bronią palną zastrzeżono do kompetencji szefów WUSW. Natomiast zgodę na nabycie i posiadanie wiatrówek i innej broni działającej na zasadzie sprężonego powietrza oraz pistoletów i przedmiotów do miotania chemicznych środków obezwładniających, wydają kierownicy jednostek terenowych.

— Z uzyskaniem wymienionego dokumentu sprawa jest prosta — twierdzi kpt. Karol Woliński z sekcji zezwoleń i opiniowania Wydziału Ogólnego WUSW w Katowicach. — Wystarczy podanie, życiorys, świadectwo lekarskie i 2 zdjęcia. Opłaty urzędowe wynoszą 2000 złotych plus 200 zł za każdy załącznik. Oczekiwanie nie trwa dłużej niż 14 dni. Dotychczas w województwie wydano około tysiąca zezwoleń.

W zamkniętym pomieszczeniu, a nawet na otwartej przestrzeni przy trafieniu w pierś, ładunek chloroacetofenonu zawarty w pocisku zwala z nóg rosnącego chłopca. Blokując oddychanie, poraża mięśnie, wyciska łyzy. Do odzyskania pełnej

sprawności organizmu trzeba dłuższej chwili.

— Pouczamy klientów o właściwościach sprzętu — mówi Andrzej Płuciński. — Pokazujemy jak rozpoznawać pociski. Te z gazem łzawiącym mają niebieskie zatyczki, paraliżujące — żółte. Są jeszcze straszące, robiące huk jak „tетки” i sygnałowe z zielonym lub czerwonym dymem. Ich wystrzelenie wymaga specjalnej nasadki na lufie. Mówimy też ludziom o zasadach użycia broni, strzał pod wiatr może razić strzelca, i o udzielaniu pierwszej pomocy. Odpowiedzialności jednak za nic nie bierzemy.

— Moda na broń gazową zaczęła się trzy... może cztery lata temu — opowiada chorąży Adam Margas z sekcji zezwoleń. — Obecnie osiąga apogeum. Zresztą ludzie kupiliby i czołg, i rakietę. Przed chwilą odebrałem telefon. Mężczyzna z luty „Katowice” pytał o możliwość zdobycia kajdanek, by przypinać sobie tęczkę do nadgarstka. Inni marzą o RMG lub „elektrycznej palce”.

Fachowcy z „Sumy” uważają, iż to nie tylko moda wyzwoliła run na broń gazową i pokrewne urządzenia obronne. Także zanik poczucia bezpieczeństwa publicznego, strach przed złoczyncami uzasadniony pewną bezradnością milicji, która w atmosferze nagonki nie potrafi się pozbierać. Czytelnicy gazet dowiadując się co kilka dni o atakach bandziorów na funkcjonariuszy, zaczynają się zastanawiać, kóż ich będzie bronił. I dochodzą do wniosku, że najlepiej uczynią to sami.

ADAM K. PODGÓRSKI

Policja w XIX wieku

W XIX w. w Polsce o bandytyzmie w formie dzisiejszej nikt nie słyszał, wielkich rabunków nie znano, a jeśli policjant walczył, to chyba z pijakami awanturującymi się na ulicach. Brano ich za koiłnier i prowadzono do ratusza. Policji warszawskiej w epoce

Księstwa Warszawskiego i później, aż do 1831 r., pomagały inne organizacje. Na przykład obowiązek odbywania patroli nocnych po mieście należał nie do policji, lecz do tzw. placówki, która pod dowództwem dyżurnych oficerów rozsyłała oddziały żołnierzy. Patrole wojskowe, zwane rontami, czyniły to wszystko, co dziś policja. Zatrzymywały i aresztowały podejrzanym, chwytaly rzeźmieszków i awanturników, a nawet pilnowały, żeby stróża nocni znajdowali się na swoich miejscach. Ront osobników odprowadzał do aresztu policyjny w ratuszu, gdzie pozostawiał ich pełniącemu dyżur urzędni-

kowi policji. Policja badała winę i wyznaczała karę, a poważne sprawy przekazywała sądowni. Poza tym, w szczególności w ważnych punktach miasta, posterunki były obsadzone nie przez policję, lecz przez żołnierzy. Uzupełnienie niewykształconej i prawie nieuzbrojonej policji Warszawy stanowił również korpus weteranów Wojska Polskiego. Weterani pełnili wartę przed główniejszymi gmachami rządowymi i publicznymi, a w niektórych zakładach mieli wyznaczone odwachy, przy których koszarowali.

J. BIENIEK



PRZERWANE WESELE

W tej restauracji odbyło się wiele wesel, ale takie jak to, zdarzyło się po raz pierwszy. Przebiegało podobnie do innych, szczęśliwi, uśmiechnięci państwo młodzi, odświętnie wystrojeni goście, dobra orkiestra, która porywała do tańca, smaczne potrawy na stołach, elegancka obsługa. Słowem, zabawa była szampańska, jak to zwykle na weselach bywa. I nagle około godziny 3.00, kiedy goście odpoczywali po harcach w rytmie lambady, od drzwi rozległ się przeraźliwy kobiecy krzyk: — Rany boskie! Mój mąż nie żyje!... Tam!... W samochodzie!... Udużony!

Państwo młodzi złapali się za ręce i zbiedli. Ktoś zakrzyknął się wódka, komuś z ręki wypadł widelec, wszyscy na moment znieruchomieli patrząc na stojącą w drzwiach Jolanę Z., po czym zaczęli zrywać się z miejsc i jeden przez drugiego wybiegał z restauracji. Mercedes Zbigniewa Z. stał na parkingu między innymi samochodami. Obstawili go wszyscy przepychając się, deptając sobie po nogach. Każdy nerwowo zaglądał do środka i gwałtownie cofał się. W samochodzie na siedzeniu kierowcy, z opartą o zagłówek, odchyłoną do tyłu głową pół-siedział,

pół-leżał Zbigniew Z. Oczy miał zamknięte, usta szeroko i nienaturalnie otwarte. Na jego szyi widniała wyraźna, sina pręga.

Ktoś pobiegł dzwonić po milicję, ktoś inny po taksówkę, żeby odwieźć do domu roztrzęsionych państwa młodych. Wesele było zakończone...

Nim goście opuścili dramatycznie przerwane przyjęcie, pracę na miejscu zbrodni rozpoczęła ekipa milicyjna. Wstępne rozmowy z niektórymi uczestnikami wesela oraz oględziny

zwłok i samochodu pozwoliły ustalić przypuszczalne okoliczności zbrodni. 28-letni Zbigniew Z. był kuzynem pana młodego, podobnie jak dwaj jego bracia, starszy Roman i młodszy Marian, również zaproszeni wraz z żonami na wesele w przyjaciel. Mercedes Zbigniewa stał na ogrodzonym parkingu przy restauracji między czterema innymi samochodami. Od lewej stały one następująco: maluch Mariana, fiat Romana, mercedes Zbigniewa (świadcząc przy okazji o zróżnicowanym standardzie życiowym braci) oraz dwa maluchy innych gości weselnych.

Żona zamordowanego zeznała, że po oczępinach, a więc po północy, wyszli z mężem zdrzemnąć się w samochodzie. Po około godzinie ona zbudziła się i wróciła na salę zostawiając męża śpiącego. Gdy około 3.00 przyszła go zbudzić, zobaczyła, że nie żyje.

Oględziny wskazywały wyraźnie, że Zbigniew Z. został udużony (prawdopodobnie czymś w rodzaju sznurka) w czasie snu. Ułożenie ciała, jak również porządek panujący w samochodzie świadczyły o braku jakiegokolwiek walki. Wręcz przeciwnie, zbrodni musiano dokonać szybko i bez szarpaniny, skoro na kolanach denata leżała mała śrubka, którą bawił się przed snem i którą żona widziała tam, gdy spał.

Motyw zabójstwa z pewnością nie był rabunkowy, przy denacie znaleziono nietknięty portfel z zawartością sporej ilości złotych i dolarów, na palcu złoty sygnet, a żona twierdziła, że z samochodu nic nie zginęło.

Zanosilo się na długie i żmudne śledztwo. Na weselu było 50 osób i teoretycznie każda mogła dokonać zbrodni. Sytuacja była niczym w klasycznej powieści kryminalnej: prawdopodobnie morderca znajdował się wśród gości eleganckiego przyjęcia. Jego przebieg do chwili oczępin, czyli do 24.00, utrwalony został na taśmie wideo. Ten film prowadzący śledztwo por. Zygmunt Florek z WUSW w Poznaniu oglądał wiele razy. Ale właściwie nie było na nim niczego, co mogłoby naprowadzić na jakiś trop. Z tłumu bawiących się gości wyróżniła się pani Jolanta, żona Zbigniewa, która świetnie tańczyła i miała największe powodzenie. Zbigniew również bawił się dobrze, wyglądał na zadowolonego, beztró-

kiego, jak to na balu. Prowadzącego śledztwo interesowali również obydwa tracia denata. Na filmie widać ich było kilkakrotnie bawiących się dobrze jak inni. Rano, gdy przybyła na miejsce ekipa milicyjna, młodszy brat był tak pijany, że w ogóle nie można się było z nim dogadać. Starszy nie pił prawie wcale, poza tym w trakcie przyjęcia, podobnie jak i Zbigniew, wychodził się przespacerować do samochodu. Na salę wrócił po 2.00. Gdy opuszczał samochód, jego brat w mercedesie jeszcze spał. Widział go przez szybę, nie otwierał drzwi, nie budził go...

Szukając motywu zbrodni prowadzący śledztwo przyglądał się rodzinie zmarłego. Najpierw żona — osoba, która na śmierci Zbigniewa zyskać mogła najwięcej, był on bowiem właścicielem sporego majątku: domu, mercedesa i dobrze prosperującego sklepu z artykułami zagranicznymi. Szybko wychodził na jaw, że piękna Jolanta miała kochanka, który aktualnie przebywa za granicą. Jolanta nie zaprzecza temu, ale mówi, że sprawa dawno jest już skończona, a mężowi powiedziała o wszystkim i używała jego przebaczenia. Jest zalamana po śmierci męża, ale czy jej rozpacz jest prawdziwa?...

Starszy brat Zbigniewa — Roman stateczny, zrównoważony, cieszący się doskonałą opinią, jest prezesem spółdzielni produkcyjnej. Dobrze sytuowany. Żyjący własnym życiem, dobry mąż i ojciec. Z obydwojema braćmi łączyły go dobre stosunki. Czy nie były pozorne?...

Młodszy — Marian, najskromniejszy urzędnik z całej trójki, pracował w masarni, dorobił się zaledwie malucha, nie miał mieszkania i gdy się ożenił, musiałby mieszkać wraz z ojcem. Pracował z żoną w kilkunastohektarowym gospodarstwie ojca, ale płacił im niewiele, tyle żeby wystarczało na życie. Marian liczył, że ojciec przepiśnie na niego gospodarę, ale kiedy starszy brat ożenił

OSTATNIA WIZYTA

Poznali się na dworcu w Gdańsku. Było to w połowie czerwca ubiegłego roku. Jan często chodził tam „na łowy”, obserwował snujących się chłopaków, wybierał, zapraszał do siebie do domu. Był homoseksualistą.

Dwa lata wcześniej Jan straszliwie się naciął — zwabiony do mieszkania 17-latek nie tylko odepchnął gospodarza brutalnie przy pierwszej próbie zbliżenia, ale chwycił nóż i ugodził niefortunnego adoratora. Jan upadł, stracił sporo krwi, ale przeżył. Napastnik pozabierał z mieszkania rozmaite „pamiątki” i ulotnił się, wkrótce jednak został ujęty.

Nawet tę dramatyczną przestrożkę losu Jan zlekceważył. Nadal lekko myślnie zapraszał do siebie dopiero co poznane osoby, nadal chadzał na

dworzec, by wyłuskiwać z tłumu uciekinierów z domów czy innych chłopaków, wyglądających na mało zaradnych, i oferował im pomoc w postaci lokum, pieniędzy. Zbyszkowi Z. zaproponował znalezienie lepszej pracy i zabrał na gorzałkę.

Siedzieli, popijali. Coraz to ktoś nowy wchodził, załatwiał sprawy z gospodarzem i wychodził. Bo 38-letni Jan K. był człowiekiem interesu. Jako rencista cały swój czas poświęcał handlowi na targowiskach, przez jego ręce przechodziło właściwie

wszystko, ze szczególnym uwzględnieniem sprzętu elektronicznego i ciuchów. W małej kawalerce trudno było przecisnąć się między stertami pudeł, toreb i wypchanych worków foliowych.

W jakiś czas później Zbigniew Z. odwiedził Jana ponownie, obiecywał, że znajdzie dla niego jakiegoś interesującego partnera. Uradowany Jan z radością sięgnął po alkohol i częstował obficie swego gościa.

Na początku lipca kontrahenci Jana zaczęli się denerwować. Jego bliski znajomy o pseudonimie „Redaktorka” był uwięziony w ważnej sprawie, jacyś ludzie z Olsztyna zostawili torwar w torbach u Jana, a ten znikł. Tylko dwa psy ujadają przez zamknięte drzwi. Zawiadomiono milicję. Strażak i funkcjonariusz weszli po drabinie na wysokość V piętra i przez okno Jostali się do wewnątrz. Stwierdzili, że pomieszczenie jest zalane stertami przedmiotów i... nic ponadto.

Ten brak spostrzegawczości został naprawiony dopiero następnego dnia, kiedy wyważono drzwi. Spód sterty ciuchów wystawało męskie ramie. Zwłoki Jana K. (już w znacznym rozkładzie) były straszliwie zmasakrowane — od ran tłuczonych głowy poczynając po dziesiątki ran kłutych kłatką piersiową, pęciów, szyi, z przecięciem rżenia kręgowego włącznie.

Był 4 lipca. Natychmiast przystąpiono do ustalania rozlicznych kontaktów zamordowanego. Rozmowy, rozmowy, rozmowy. Już 6 lipca wyłoniła się z tych dociekań wiele prawdopodobna sylwetka zabójcy. Nietypowego gościa Jana K., ani partnera, ani handlarza. Urodzony w 1970 roku, zatrudniony w stoczni „Wisła” jako spawacz,

był mieszkańcem hotelu robotniczego. Udało się go zatrzymać tamże 14 lipca. Nie wyglądał na bardzo zaskoczonego.

Po zabójstwie Jana K. funkcjonariusze dotarli również do jego... byłej żony. Tak, to nie pomyłka. A raczej była to bardzo przykra w skutkach pomyłka dla owej niedoświadczonej, skromnej, wiejskiej dziewczyny, która przed laty zapragnęła poślubić przystojnego kolegę z pracy. Wszyscy — prócz niej — wiedzieli o orientacji seksualnej Jana, ale nie umieli (nie chcieli?) uprzedzić o tym dziewczynę. Motywów podjęcia decyzji o ożenku przez Jana możemy się tylko domyślać — pewnie była to próba stworzenia pozorów „normalności” wobec otoczenia i wobec samego siebie.

Ostatecznie ślub się odbył. Więcej — jedyne najprawdopodobniej zbliżenie zaowocowało przyjęciem na świat dziecka. Ona cierpliwie i z pokorą znosiła nie tylko kompletny brak zainteresowania ze strony męża, lecz także ciągłe upokorzenia, razy, awantury. Dopiero gdy spostrzegła zupełnie nie ojcowskie kontakty z małym synkiem, chwyciła dziecko na ręce i tak jak stała, wybiegła z domu, by nigdy tam nie powrócić. Po rozwodzie nie widziała już więcej Jana i nie chciała nawet o nim słyszeć. Wiadomość o jego śmierci przyjęła ze zrozumiałą w tej sytuacji obojętnością.

Jan, jak już wiemy, korzystał ze swej samotności ochoczo. Przez małą kawalerkę przewinęły się korowody młodych mężczyzn, w notatkach i kalendarzykach widniały setki adresów. Tak było aż do tragicznej nocy z 30 czerwca na 1 lipca...

się powtórnie, z młodszą, zamożną rolniczką, marzenia te przysły. Marian próbował osiągnąć przynajmniej jakieś znaczące miejsce i rolę w tym wielkim gospodarstwie, ale despotyczny ojciec nie chciał go słuchać. Zawsze go lekceważył, dla niego liczył się tylko Zbigniew. Średni syn dorobił się największego majątku i to było przedmiotem ojcowskiej dumy. Temu synowi niczego nie odmawiał. Niedawno, gdy Zbyszkowi zabrakło pieniędzy do jakiegoś interesu, ojciec bez wahania dał mu 1 miliony zł, które wcześniej obiecał Marianowi na kolorowy telewizor. Marian miał wielki żal do ojca o te niesprawiedliwości, ale czy nie żywił pretensji także do brata? Roman patrzył na to wszystko z dystansem, ale czy nie czuł się również pokrzywdzony?...

Na weselu siedzieli obok siebie, wyglądali na zgodną rodzinę. Co czuli naprawdę? Jak dawno bracia przeżyli śmierć trzeciego? Pytań było dziesiątki.

Spółród zeznań świadków interesujące były szczególnie wypowiedzi tych, którzy w trakcie przyjęcia wychodzili na dwór. Niestety wszyscy twierdzili, że niczego ani nikogo podejrzanego na parkingu nie widzieli. Tylko kamerzysta przypomina sobie, że gdy wyszedł się przewietrzyć około godziny 2.00 widział mężczyznę idącego od strony parkingu i wchodzącego do restauracji. Był to jeden z gości weselnych. Wszyscy mężczyźni, którzy twierdzili, że w czasie przyjęcia wychodzili na dwór zostają kamerzyście okazani, ale w żadnym z nich nie rozpoznaje tego, którego widział tamtej nocy. Natomiast oglądając film wskazuje na Mariana. Marian zaprzecza jakoby wychodził z restauracji i te słowa zdecydowanie potwierdza jego żona. Ale kilka dni później powie ona w rozmowie z Jolantą: „Kto to mógł zrobić i kiedy? Przecież mój Marian kilka razy wychodził na dwór i nikogo nie widział?”...

Mimo samych poszlak prokurator decyduje się zastosować areszt tymczasowy wobec Mariana Z. Przez trzy dni Marian konsekwentnie zaprzecza, jakoby to on zamordował brata, czwartego nie zostaje wezwany na przesłuchanie, piątego wieczorem sam zgłasza, że ma do powiedzenia coś ważnego. Natychmiast zostaje ściągnięty z domu prowadzący śledztwo oficer. Marian Z. upewniwszy się, czy przyznanie się do winy spowoduje złagodzenie kary, mówi, że choć od śmierci brata minęły ponad trzy miesiące, wciąż nie może zapomnieć tamtej nocy...

Nie planował tej zbrodni, nie chciał jej, nawet nie życzył tak źle swemu bratu. Zdecydował zbieg okoliczności i chwilowy nastroj spotęgowany przez wódkę... Był pijany, gdy wyszedł z restauracji spacerować się trochę. Zerwał wierzbową witkę i machając nią chodził po parkingu. Zobaczył, że obydwa bracia śpią w swoich samochodach. Mercedes miał nie zablokowane tylne drzwi, więc otworzył je i wsiadł. Machnął lekko witką uderzając brata po głowie. Chciał go obudzić. Ale Zbigniew spał twardo. „Śpij, śpij, beztrojski człowieku, przecież nie musisz się o nic martwić” — pomyślał ze złością wspominając niedawną historię z dwoma milionami. I nagle wrócił wszystkie zale i poczucie krzywdy. W pijanej głowie zamajaczyło, że to ten, który tu tak smacznie śpi, ten pupilek ojca jest wszystkiemu winien.

— Niech cię szlag trafi — mruknął i założył gietką wierzbową witkę na szyję brata. Zaciśnął, pociągnął nie czując nawet czy mocno... i nagle oprzytomniał.

— Co ja robię? — pomyślał z przerażeniem i wybiegł z samochodu.

Kiedy godzinę potem Jolanta wpadła z krzykiem, że jej mąż nie żyje. Marian nie chciał w to wierzyć. Przysiągł żonie, żeby nie mówiła, że wychodził z przyjęcia. A potem już tylko pił na umór...

ELŻBIETA SITEK

Dwie wizyty u Pana K. nie dawały spokoju 19-letniemu (karanemu już wcześniej) Zbigniewowi Z. „Facet dziany, jest co wynieść” — tym za pewnieniem udało mu się zachęcić dwóch kolegów z jego stron, z Susza, Andrzeja S., lat 18 i Mariusza A., lat 19.

Ostatniego czerwcowego wieczoru wsiadli do gdańskiego pociągu, zabierając plecak na spodziewane fanaty oraz pojemnik z gazem. W hotelu robotniczym Zbyska uzupełnili ekwipunek ciężkim masywnym pokretem od hydrantu, którego zamierzali użyć jako rodzaju kastetu. Ustalają plan: najpierw Zbyszek pójdzie sam i powie, że przeprowadził tego obcywanego chłopaka, potem dołączy dwaj pozostali.

Tak się staje, choć początkowo gospodarz niechętnie i trochę nieufnie otwiera drzwi przed kolejnymi osobami. Tym bardziej że gości akurat u siebie jakiegoś nieleta. Nowi próbują tego ostatniego spalić. Nieskutecznie. Gdy w pewnym momencie „konkurent” udaje się do łazienki, tracą gwałtownie ochotę na serwowany alkohol i całą trójką rzucają się na Jana. Grad ciosów i kopniaków ścina napaśdzonego z nog.

Andrzej S. wywleka z łazienki małolata, bije go, rzuca na tapczan, wiąże i stawia warunek „albo pomagasz, albo cię załatwimy”. Propozycja jest nie do odrzucenia.

Zaczyna się buszowanie po mieszkanku, ładowanie do toreb i plecaka — aparatów fotograficznych oraz telefonów, więc dzinów, walkmanów. Niejako po drodze i przy okazji zadają charczącemu ostatkiem sił Janowi dalsze ciosy wyjętymi z kasetki trzema nożami, ciupagą, śrubokrętem. Wreszcie gdy Jan ostatecznie nieruchomieje, a poręcznych toreb bra-

kuje, decydują się opuścić kawalerkę. Okazuje się to nie takie proste — gospodarz zamknął drzwi na klucz, którego nie potrafią znaleźć.

Zbigniew Z. decyduje się zejść z V piętra po pióruchochronie na dół, następnie wbiega schodami na górę i otwiera okienko (na klatkę schodową). Z okna do okna wędrują wypelnione skradzionymi dobrami torby. Coś tam przy tych manewrach spada w dół. Ale nikt z sąsiadów niczego nie widzi i nie słyszy.

Dobrana grupa dociera na dworzec po godzinie drugiej w nocy. Pozwalają małodolowi odłączyć od nich. Sami jadą takśówką do Tczewa, a stamtąd dalej do Susza. Następuje podział łupów. Zbyszek ze swoją działką jedzie do Torunia, spienięża towar, pije i baluje do ostatniego grosza, a raczej — tysiąca. Potem się tnie, próbując popełnić samobójstwo.

Wreszcie wszyscy kończą w areszcie. Pozostaje tylko jeszcze odnalezienie czwartego, przypadkowego uczestnika całej akcji, o którym wiadomo tylko, że oblat I rok w szkole budowy okrętów (a każda stocznia ma swoją). Chłopca, będącego w konflikcie z rodzicami i od 1 czerwca wódcącego się po całej Polsce, udaje się zatrzymać dopiero 12 października w Krakowie. Ma na imię Krzysztof, urodził się w 1973 roku, pochodzi z gminy Morąg.

Tuż przed opuszczeniem mieszkania Jana K. jego zabójca Zbigniew Z. zdjął swoją marynarkę i powiesił na wieszaku. Ze sterty ubrań wywolił dzinsową kurtkę. Założył na siebie. Wreszcie był zadowolony, wyglądał tak jak tamci, którym do tej pory mógł jedynie zazdrościć.

JOLANTA ŚLIFIERZ

Francuski minister spraw wewnętrznych Pierre Joxe oddelegował, zgodnie z zawartą w 1962 roku konwencją między Francją a Królestwem Monako, dwóch wyższych oficerów francuskiej policji do kierowania służbą bezpieczeństwa publicznego Monako. Dotychczasowy szef tego resortu Ives Majorela był ostatnio mocno krytykowany za niepokojący wzrost przestępczości kryminalnej w tym księstwie.

Pierre Quilici, który dotychczas był dyrektorem generalnym francuskiej policji powietrznej i granicznej, stanął na czele służby bezpieczeństwa publicznego Monako, a Maurice Albertin objął stanowisko dyrektora tamtejszej policji.

Sąd karny w Grasse, w południowej Francji, skazał na 18 miesięcy pozbawienia wolności oraz grzywnę w wysokości 250 tysięcy franków Polaka ks. Juliana Cieślaka, proboszcza w miejscowości Sospel, w departamencie Alpes Maritimes. W latach 1985-1987 proboszcz Cieślak zdefraudował ponad 1,7 mln franków, pochodzących od wiernych swojej parafii, jako dary na cele charytatywne dla Polski. Przywłaszczając pieniądze Julian Cieślak systematycznie umieszczał na osobistym koncie bankowym i lub koncie swojej siostrzenicy, zatrudnionej w tej parafii jako sekretarka i guwernantka.

Skandal ten ujawniony został na podstawie tajnej informacji, uzyskanej przez policję.

45 ton haszyszu, wartości około 220 mln dolarów, przechwyciła holenderska policja — oświadczył rzecznik prasowy policji miasta Dordrecht, na południe od Rotterdamu. — Narkotyki ukryty były w dwóch kontenerach, w hangarze pewnej spółki międzynarodowego transportu. Była to największa, jednorazowa konfiskata haszyszu, dotychczas dokonana w Holandii.

Narkomania nabiera niepokojących rozmiarów w chińskiej prowincji Junnan, w pobliżu granicy z Birma, Laosem i Wietnamem, gdzie działa około 30 niezależnych laboratoriów produkujących rocznie ponad 10 ton heroiny. Tylko w ciągu pierwszych miesięcy ub. roku tamtejsza policja aresztowała 1800 handlarzy narkotykami, konfiskując jednocześnie 230 kg heroiny oraz 14 kg opium. Większość produkowanej w tej prowincji heroiny jest przemycana do Europy i Stanów Zjednoczonych.

Przed tegorocznym sezonem turystycznym we Francji, gdzie zarejestrowanych jest 23 mln samochodów osobowych, trwają gorączkowe przygotowania policyjnych służb ruchu drogowego. Dla sprawniejszego kierowania i nadzorowania ruchu drogowego w okresie wzmożonych wyjazdów postanowiono zaangażować dodatkowo 5 tys. inspektorów ruchu drogowego, rekrutowanych z jednostek policji i żandarmerii.



Ministerstwo Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych postawiło w stan oskarżenia dwóch byłych szefów meksykańskiej policji federalnej i zarazem przedstawicieli biura Interpolu w Meksyku, od kilku lat ukrywających się Manuela Ibarra Herrera oraz Miguela Aldana Ibarra.

Amerykański wymiar sprawiedliwości obarcza ich odpowiedzialnością za zabójstwo tajnego agenta amerykańskiego biura zwalczania narkotyków — „Drug Enforcement Administration” Enrique Carnarena Salazara, uprowadzonego, torturowanego i zamordowanego 7 lutego 1985 roku w okręgu Guadaluajara w Meksyku.

W kilku dużych miastach Argentyny, m. in. w Rosario, Mendoza, Cordobie i Lomas de Zamora doszło do masowych grabieży sklepów, domów towarowych i ciężarówek dostawczych z żywnością. Czynniki tych dopuszcili się zdesperowani ludzie żyjący w warunkach skrajnego ubóstwa, szczególnie bezrobotni oraz samotne kobiety z dziećmi. Do przywrócenia porządku postawiono w stan pogotowia policję oraz wojsko, a w niektórych miastach ogłoszono stan wyjątkowy. Ponadto dla uspokojenia społecznych nastrojów władze rozdały duże ilości żywności i tzw. bonów solidarności, emitowanych przez rząd. Uprawniają one do zakupu artykułów żywnościowych. Agencje prasowe przypominają, że w połowie ub. roku, w podobnych warunkach hiperinflacji, recesji i bezrobocia w Rosario i innych miastach argentyńskich doszło do zamieszek połączonych z grabieżą sklepów oraz krwawych starć z policją, w czasie których 16 osób poniosło śmierć, a około 200 zostało rannych. Policja argentyńska aresztowała wówczas ponad 1700 osób.

oprac. MARIAN OWCZAREK



BAN(K)NOTY

15 lutego br. pracownicy Wielkopolskiego Banku Kredytowego w Gnieźnie, podczas segregacji wpłacanych przez placówki handlowe pieniędzy, ujawnili dwa fałszywe banknoty. Obydwa o tym samym nominale: 200 000 zł. Fałszyfikaty znalazły się w kwocie pochodzącej z utargu PBP „Orbis”.

Następnego dnia personel poznańskiego oddziału NBP zauważył również dwa fałszywe 200 000 złotych banknoty. Ustalono, że pochodziły one z utargu sklepu PSS Spółem — „Kopernik”.

Kilka dni później, 21 lutego, bankowcy II oddziału NBP w Poznaniu wyłowili aż trzy dwustutysięczne banknoty z wszystkimi

cechami fałszyfikatów. Pochodziły one z utargu kilku poznańskich sklepów.

Po tych trzech przypadkach nastąpiły inne. Pan Andrzej N. z Nowego Sącza przyjechał, nie po raz pierwszy, z towarami do stolicy, sprzedał go hurtowo wprost z samochodu przy hali Banacha. Gdy już spokojnie podliczał zysk, zauważył, że dwa banknoty o nominale 200 000 złotych wyraźnie się różnią od trzeciego, który był pewniakiem, gdyż pochodził z banku.

Wrócił do Nowego Sącza i z podejrzanymi banknotami poszedł do banku, by zrobić ekspertyzę. Okazało się, że banknoty są fałszywe. Skierowany do wydziału kryminal-

nego WUSW przekazał funkcjonariuszom tej służby dość dokładne rysopisy osób, które zapłaciły mu za towar fałszyfikatami.

*

Właściciel jednego z kantorów skupu i sprzedaży walut w stolicy po obejrzeniu 200 000-złotowego banknotu, za który młody mężczyzna chciał kupić dwadzieścia dolarów, poradził klientowi:

— Chyba wiesz, że to syf, więc spieprzaj. Klient zniknął jak duch. Dopiero wtedy właściciel kantoru pofatygował się do pobliskiego komisariatu.

— Dlaczego pan nie zatrzymał faceta? — pytali funkcjonariusze MO rosnącego i barczystego biznesmena.

— To na pewno szajka — odparł. — Gdybym zatrzymał jednego, drudzy załatwiliby mi kantor, a może i mnie. Wiem, czym to grozi.

Z faktów tych wynika, że w Polsce od kilkunastu tygodni działa grupa przestępcza zajmująca się produkcją i puszczaniem w obieg fałszywych banknotów. Do chwili obecnej tylko o nominale 200 000 złotych.

Zajmujący się tą problematyką z ramienia Departamentu Kryminalnego KG MO kpt. Stanisław Szymański mówi:

— Stopień doskonałości fałszerstw banknotów szacuje się za pomocą trzech klas. Znajdujące się już w obiegu fałszywe banknoty 200 000-złotowe zaliczyć należy do pierwszej klasy. Według naszego rozpoznania są one produkowane na maszynie poligraficznej, przypuszczalnie japońskiej, kopiującej wzórunek i kolorystykę. Jest to więc robota fachowa. Parają się nią prawdopodobnie profesjonaliści z zakresu poligrafii.

Dlaczego wybrali sobie akurat banknoty o nominale 200 000 złotych? Przypadkowo czy... z rozmysłem?

Kpt. S. Szymański odpowiada:

— Wykluczamy przypadkowość. Sądymy, że ta sama grupa rozpoczęła od podrobienia banknotów 50 000-złotowych. Ale te banknoty nie dawały się łatwo podrobić, jest to zasługa projektanta. Fałszerze zrobili więc tylko siedem fałszyfikatów, szybko wyłowionych, i zaprzestali w obawie przed wpadką.

DZIKIE WYBRYKI

Zaatakowali zaraz po minięciu granic Warszawy. Marcin uderzył w tył głowy taksówkarza metalowym prętem znalezionym w pobliżu Dworca Centralnego. Siedzący z przodu Andrzej zamachnął się, ale mężczyzna zrobił unik chwytając napastnika za rękę. Samochód wytracił prędkość i zatrzymał się na poboczu. Marcin otworzył drzwi i wyskoczył. Zaczął biec w kierunku zarośli.

Nie uciekł daleko. Dogonili go pasażerowie tarpana, na oczach których dokonano napadu na taksówkarza. Sprawcami okazali się 11-letni Marcin P. oraz o dwa lata starszy od niego Andrzej W. Obaj uciekli z domu, a powodem była 15 ocena niedostateczna, którą otrzymał starszy z nich. Wychodząc z domu zabrał 50 dolarów.

Autobusem przyjechali do Warszawy, odwiedzili lunapark, kilka godzin spędzili na dworcu, by wskoczyć w bieg do ruszającego pociągu „byłoby jakiego”. Nie zadbali o bilet, bagażu nie mieli. Uznali, że w stolicy jest o wiele ciekawiej niż w Bielsku-Białej, gdzie się przypadkowo znaleźli i postanowili wrócić. Wtedy wpadli na pomysł, by napaść na taksówkarza. Na terenie budowy

wokół dworca zaopatrzyli się w krótkie łomy.

Dwóch taksówkarzy nie chciało jechać z nieletnimi pasażerami poza Warszawę, trzeci 57-letni Tadeusz P. za 20 tys. zł i 2 dolary, uiszczony z góry, wyruszył na trasę. Widać zdziwiło mu się czekanie na długiej kolejce na dorosłego pasażera.

Obaj napastnicy znaleźli się w milicyjnej izbie dziecka, o zdarzeniu poinformowano rodziców. Po Andrzeja przyjechał ojciec, matka Marcina przysłała natomiast list: „Oświadczam, że nie zabiorę mojego syna do domu, proszę umieścić go w placówce wychowawczej. To, co on wyczynia, jest ponad moje siły”.

*

Szczecińscy funkcjonariusze wpadli na trop bandy kilkunastoletnich szantażystów. Atakowali oni młodszych od siebie przechodniów i grożąc pobiciem wymuszali pieniądze. Dokonywali kradzieży w sklepach, a „łupy” wymieniali na zabawki, coca-cole, gumę do żucia. Apetyt rośnie w miarę... zuchwałości. Postanowili kupić sprzęt elektroniczny, a pieniądze (3 mln zł) na ten cel usiłowali wy-

musić od jedenastoletniego chłopca... w zamian za utrzymanie w tajemnicy faktu wynoszenia przez niego z domu cenniejszych przedmiotów.

*

9-letni Łukasz P. z Jeżówki, woj. katowickiej, bawiąc się w mieszkaniu sponką górniczą, do której podłączył baterię, spowodował detonację. Skutki wybuchu okazały się tragiczne, domorosty pirotechnik doznał licznych obrażeń twarzy, klatki piersiowej, rozerwania gałki ocznej, urwało mu palec. Ranni zostali również jego rodzice.

*

18-letni Adam Z. wraz z niewiele starszym od siebie Darkiem Ch. włamali się do pawilonu handlowego WPH „Leda” w Golubiu-Dobrzyniu, skąd skradli artykuły spożywcze, a następnie wzniciли pożar. Straty powstałe w wyniku włamania i pożaru wstępnie oszacowano na ponad 150 mln zł.

*

Po zakończonym koncercie rockowym odbywającym się w domu kultury w Gryfinie doszło do bójki między grupami młodzieży. Cztery osoby skorzystały z pomocy lekarskiej, jedną umieszczono w szpitalu.

Podobnie działo się podczas występu zespołu rockowego w Gdańsku-Oliwie, gdzie doszło do bijatyki między punkami i skinnami. Porządek przywrócili funkcjonariusze

Natomiast nieźle się im powodzi z produkcją banknotów 200 000-złotowych. Są one, z wielu względów, znacznie łatwiejsze do podrobienia. Ich projektant jak gdyby zapomniał o wprowadzeniu sporej liczby graficzno-kolorystycznych utrudnień.

— Czy w tej sytuacji należałoby wycofać dotychczasową emisję i zaprzestać dalszej?

— W tej sprawie decydujący głos mieć będą eksperci bankowi.

— A wy?

— My również, tylko z innej pozycji. Gdy uda nam się wykryć, a następnie oddać w ręce prokuratora i sędziego szajkę fałszerzy, zobaczymy, co będzie dalej. Może nie pojawi się następna i kosztowna operacja wycofania się z dotychczasowej emisji okaże się niepotrzebna?

Zanim to nastąpi, przypominamy dotychczasowe wydarzenia. Pierwsze sygnały o pojawieniu się w obiegu 200 000-złotowych fałszyków zaczęły napływać z wojewódzkich jednostek MO do Biura Kryminalnego Komendy Głównej MO na początku lutego br. Najwięcej przypadków zanotowali funkcjonariusze z województw: poznańskiego i łódzkiego, a nieco później — radomskiego i wrocławskiego. Fałszyki ujawnili i dalej ujawniają prawie wyłącznie, poza dwoma opisanymi wyżej przypadkami, pracownicy banków.

Niewątpliwie świadczy to o tym, że fałszywe banknoty są bardzo podobne do prawdziwych. Przyjmują je bez zastrzeżeń ekspedientki sklepowe, a nawet kasjerki biur podróży. Zwłaszcza podczas załatwiania dużej liczby klientów ustawionych w kolejki.

Nikt nie jest w stanie dać rzeczowej odpowiedzi dotyczącej liczby fałszyków znajdujących się już w obiegu. Nie wiadomo również, czy przestępcza grupa dalej wprowadza na rynek fałszywe 200 000 zł. Zanim fałszerze znajdą się pod kluczem, mogą narazić na duże straty różne przedsiębiorstwa.

Czy przeciętny człowiek może rozpoznać fałszywe 200 000-złotowe banknoty?

Kapitan Szymański twierdzi, że tak. Pod warunkiem, że obywatele będą wiedzieć

o kursujących fałszykach i dokładnie przyjrzą się oryginalnym banknotom.

Fałszywe banknoty wyróżnia przede wszystkim jaśniejsze tło i bledsze kolory. Ponadto na ramionach krzyża brak napisu: *Vir-tuti Militari*.

Bezbłędne rozpoznanie fałszyków można dokonać dopiero w świetle lampy ultrafioletowej. Banknot oryginalny zachowuje ciemne tło, fałszywy świeci — daje białofioletkowy odbłask. W oryginalnym świecą tylko numery serii.

Natomiast niewiele daje porównanie papieru. Ten używany przez przestępczą grupę jest bardzo zbliżony do tego, na jakim drukowane są oryginalne banknoty.

Funkcjonariusze służby kryminalnej w całym kraju prowadzą działania operacyjne i kryminalistyczne. Specjalnie wydzieleni do tej sprawy oficerowie pracują pod fachowym i koordynacyjnym nadzorem Departamentu Kryminalnego. Analizuje się każdy nowy przypadek ujawnienia fałszykatu, związane z nim okoliczności, cechy poligraficzne itd.

Są już pierwsze informacje pozwalające usytuować miejsce produkcji fałszywych banknotów. Szczegółów nie możemy jednak ujawnić ze względu na dobro dalszych przedsięwzięć. Z informacji wynika, że fałszerstwo dokonuje jedna grupa posiadająca do dyspozycji, rozpoznane już przez funkcjonariuszy MO, urządzenia. Są to maszyny o wysokich parametrach technicznych i, niestety, dużej wydajności. Znany jest też funkcjonariuszom gatunek używanego przez przestępczą grupę papieru, a w przybliżeniu — źródła zakupu.

Wszystko wskazuje na to, że przestępcy nie mają zamiaru działać doraźnie, na krótką metę, lecz perspektywnie. Świadczy o tym różnorodność serii. Już obecnie zastosowano cztery: A, B, C i D.

Do połowy marca ujawniono i wycofano z obiegu 40 fałszywych 200 000-złotowych banknotów. O rezultatach przedsięwzięć milicyjnych poinformujemy czytelników.

EDWARD NOWAK

SZANTAŻYSTA „ŻYWOKOST”

Właściciel znanej w Puławach firmy rzemieślniczej Krzysztof H. otrzymał kiedyś niecodzienny list: „Uważaj, przywaciarzu. Musisz włożyć do koperty 100 tys. zł i 60 dolarów, i złożyć w umówionym miejscu. Nie wygłupiaj się z powiadamianiem milicji, bo pożałujesz. Szczegóły później... Organizacja „Żywokost”.

Krzysztof H. potraktował to jako głupi żart i pewnie byłby zapominał o anonimie, gdyby nie kolejne listy z pogrozkami. Organizacja „Żywokost” zapewniała o swojej bezwzględności i szerokich powiązaniach gangsterskich. Zawiadomiła Krzysztofa H., że jest cały czas obserwowany. Wreszcie napisała coś, co nakazywało groźby potraktować poważnie: jeżeli nie spełni życzeń organizacji „Żywokost”, jego dwie małe córeczki zostaną porwane... Kiedy w czwartym z kolei liście szantażyści wyznaczili termin i miejsce przekazania okupu, Krzysztof H. zdecydował się poprosić o pomoc milicję.

Zawiadomieni o szantażu funkcjonariusze RUSW natychmiast podjęli niezbędne przedsięwzięcia, z udziałem pracowników Wydziału Kryminalnego WUSW w Lublinie. W rejon ul. Polnej skierowano grupę funkcjonariuszy w cywilnych ubraniach. Rozlokowali się dyskretnie wokół schodów wiodących do piwnicy wieżowca, w którym mieszkał Krzysztof H. O godzinie 18.00 rzemieślnik zgodnie z zawartą w listach instrukcją położył obok schodów pakiet z żadaną zawartością i przykrył go wiadrzem napełnionym śmieciem. Wracając do mieszkania nie mógł opędzić się od przypuszczeń, że szantażystami mogą być ludzie z marginesu społecznego, którzy pracowali w jego zakładzie i — najczęściej — porzucali pracę po kilku dniach, na własną prośbę lub — po prostu — wyrzuceni przez pracodawcę.

Jakież było jego — i milicjantów — zdziwienie, gdy po ukryty pod wiadrzem pakiet sięgnął... 15-letni chłopiec.

— Panowie, proszę nie nadużywać przemocy! — ze śmiertelną powagą oświadczył funkcjonariuszom Robert Sz., uczeń 8 klasy szkoły podstawowej. Rozbawiło to milicjantów. Przy szantażystach znaleziono pokwitowania na wysłane do Krzysztofa H. listy polecane.

— Organizacja „Żywokost”, to ja. Nazwę wziąłem z encyklopedii, tak sobie, przypadkowo. Czuję się pokrzywdzony przez cały świat. Dlaczego? No, na przykład, dlaczego ja muszę w domu zmywać naczynia i podewać kwiatki, a nie moja siostra? Czy ja muszę w domu pracować, a w szkole uczyć się na piątki? — powiedział sprawca.

— W tego typu sprawach wykrywalność jest stu procentowa. Chyba że sprawca nie zgłosi się po odbiór pieniędzy, jak to miało miejsce w Lubartowie. Przeraża natomiast fakt, że proceder, zagrożony karą pozbawienia wolności od roku do lat 10, zaczynają uprawiać nieletni — stwierdził jeden z funkcjonariuszy Wydziału Kryminalnego WUSW w Lublinie.

HEMAK

OPMO, zatrzymano 10 najbardziej agresywnych uczestników zajść, w wieku 17—18 lat.

✱

Na cmentarzu komunalnym w Legnicy uszkodzono 117 nagrobków. Straty oceniono na 105 mln zł. Wandale dali o sobie znać także na cmentarzu prawosławnym w Warszawie rozbijając 52 nagrobki i uszkadzając 10 krzyży, w tym również katolicki.

Funkcjonariusze DUSW Warszawa-Wola przy pomocy przewodników psów tropiących ustalili, a kilka godzin później ujęli sprawców; sześciu nieletnich mieszkańców pobliskiego osiedla mieszkaniowego.

— Znudzilo się nam wystawianie przy automatach zręcznościowych, zresztą nie mieliśmy już pieniędzy na grę — powiedział zrezygnowany Artur. — Wcześniej uciekaliśmy z domów, spaliliśmy na kłatkach schodowych, łaziliśmy po ulicach bez celu. Robert zaprowadził nas na cmentarz, zorientowaliśmy się, że on tu już był z innymi chłopakami i rozwalili kilka pomników. Myśleliśmy, że wina spadnie na satanistów...

— Cykor jesteście, boisz się duchów? — pytał mnie starsi chłopcy, kiedy nie chciałem razem z nimi przewracać granitowej płyty nagrobkowej — stwierdził Paweł. — No to pchałem...

— Chłopaki, zobaczcie, ale będzie afera — prorokował Jacek. — Może pokażą nas w telewizji?...

Zawiódł się w swoich oczekiwaniach.

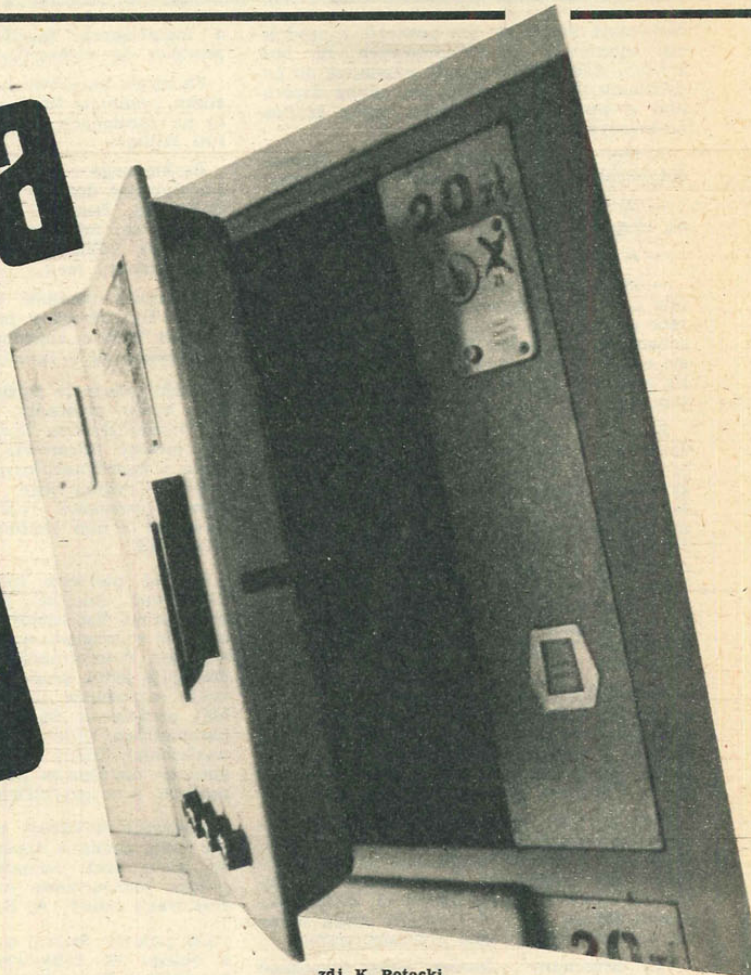
— Coś pękło w ludziach — powiedziała mi inspektor ds. nieletnich DUSW Warszawa-Praga-Południe kpt. Irena Czepiel, której zdaniem nastąpiła intensyfikacja przestępczych zachowań młodzieży, a nawet dzieci. — Skłonni jesteśmy te ekscesy bagatelizować, zwać na karb młodości, co się musi wyszumieć. Jednak kto ponosi odpowiedzialność moralną za zachowanie nastolatków? Dlaczego na siłę chcemy się dorobić, skąd taka pazerność na pieniądze przy braku szacunku dla rzetelnej pracy, nauki, uznanych autorytetów?

JERZY KIRZYŃSKI
zdj. Paweł Szlachetko



PITAWAŁ
WSPÓŁCZESNY

Tajemnica skrytki '270'



zdj. K. Potocki

Roman Bury jako ostatni z domowników zasiadł do kolacji. Właśnie kończył się dziennik telewizyjny. Zamiast planszy końcowej spiker odczytał komunikat milicyjny. Gospodarz uciszył rozmawiających przy stole. Jeszcze wówczas nie spodziewał się, że sprawa ta dotyczyć będzie również i jego. Na ekranie ukazało się zdjęcie kobiety, właścicielki mieszkania, które wynajmował w Warszawie. Z informacji spikera wynikało, że Danuta Orzechowska zaginęła i wszystkie osoby, które wiedziałyby o miejscu jej obecnego pobytu proszone są o zgłoszenie się do najbliższej jednostki milicji lub zadzwonienie pod numer telefonu...

Jeszcze tego samego wieczora do drzwi jego mieszkania zapukało dwóch funkcjonariuszy miejscowego posterunku MO.

— Kiedy przyjechał pan do domu?

— 18 lutego 1980 roku załatwiłem w pracy urlop wypoczynkowy i tego samego dnia wyjechałem ze stolicy.

— Kiedy po raz ostatni widział pan Danutę Orzechowską?

— Rano, 18 lutego. W mieszkaniu byłem jeszcze wieczorem. Drzwi otworzyła mi jej córka, Kasia. Zabrałem swoje rzeczy. Widząc, że się spieszę, Kasia zamówiła przez telefon taksówkę.

Milicjant schował do raportówki notatnik i poprosił Romana Burego o skontaktowanie się w najbliższym czasie z warszawską milicją.

W kilka dni później Roman Bury przerwał urlop i przyjechał do Warszawy. Pierwsze kroki skierował do komendy dzielnicowej przy ulicy Wilczej.

Informację o zaginięciu Danuty Orzechowskiej, inspektora do spraw Interwizji w Ko-

mitecie ds. Radia i Telewizji w Warszawie, przekazał dyżurnemu MO dyrektor biura technicznego tej instytucji. Z jego słów wynikało, że zaniepokojony jest nieobecnością pracownicy. Nigdy bowiem nie spóźniała się do pracy, nigdy dotąd nie miała nieusprawiedliwionych nieobecności. Wszystkim znana była z rzetelności i obowiązkowości.

Z informacji podanych przez dyrektora dowiedziano się, że Danuta Orzechowska była rozwódką i mieszkała wraz z osiemnastoletnią córką, uczennicą jednego z warszawskich liceów. W pracy ostatni raz była osiemnastego lutego. Podobno dziewiętnastego lutego zamierzała pojechać do kas Polskich Linii Oceanicznych, by opłacić, planowany w połowie marca 1980 roku, rejs wycieczkowy na pokładzie „Stefana Batorego”.

W godzinę po rozmowie z dyrektorem biura technicznego milicjanci zapukali do drzwi mieszkania zaginionej. Otworzyła Katarzyna Orzechowska.

— Osiemnastego lutego, na dzień przed zniknięciem matki, jak zawsze o godzinie 7.30 poszłam do szkoły. Matka szykowała się do pracy. Kiedy wróciłam około 14.30 jej jeszcze nie było. Do domu wróciła po dwóch, trzech godzinach. Jeszcze tego samego wieczora gdzieś wychodziła. Nie powiedziała mi, gdzie i po co idzie. Wróciła zaraz po 22.00, rozebrała się i poszła spać. Rano obudziła mnie, przygotowała śniadanie. Potem obie wyszłyśmy z domu.

— Jak ubrana była pani matka?

— Miała na sobie kożuszek, szydełkową czapkę, na nogach kozaczki. Po powrocie ze szkoły już jej nie widziałam. Tego dnia podobno nie była w pracy. Dowiedziałam się o tym od jej koleżanki, która do mnie zadzwoniła. Skontaktowałam się z moim ojcem, ale i on nie wiedział, co się z mamą

dzieje. Miałam złe przeczucie, więc postanowiłam z ojcem, że do jego mieszkania przeniosę pieniądze, biżuterię oraz inne wartościowe rzeczy. Po prostu w razie jakiegos nieszczęścia klucze od naszego mieszkania mogły trafić w niepowołane ręce.

W toku podjętych przez milicję czynności sprawdzających ustalono, że Danuta Orzechowska miała zamiar jechać na wycieczkę wraz z Marią T. Od niej dowiedziano się, że zaginiona poszukiwała osób, od których mogłaby kupić dolary, uzupełniając wycieczkowy fundusz. Ponadto Maria T. stwierdziła, że jej przyjaciółka jest domatorką, kobietą spokojną, zrównoważoną. Jedynym niepowodzeniem w życiu Danuty Orzechowskiej było odejście od męża, który związał się z inną kobietą. Od tego czasu, choć upłynęły trzy lata, nadal była kobietą samotną. Łatwo też dawało się zauważyć, że w jej życiu mężczyźni stanowili ledwie zauważalny margines. Towarzyskie kontakty utrzymywała z wąskim gronem osób. Wszystkie wolne chwile poświęcała córce. Interesowała się jej postępami w nauce. Troskliwość podyktowana była tym, że Katarzyna powtarzała III klasę.

Równocześnie z rozmowami, które milicja prowadziła ze znajomymi zaginionej, podjęto czynności zmierzające do ustalenia miejsca jej pobytu.

W biurze Polskich Linii Oceanicznych stwierdzono, że wszystkie opłaty za wycieczkę do Konstancy zostały wniesione w przewidzianym terminie, czyli do 4 lutego. Wynikało stąd, że pieniądze, które zabrała ze sobą przeznaczone były najprawdopodobniej na zakup dewiz. Czyżby zaginięcie Danuty Orzechowskiej należało wiązać z ewentualnym napadem lub morderstwem? Powyższe przypuszczenie należało brać pod uwagę, gdyż w tym czasie głośna była w Warszawie sprawa zaginięcia dwóch inżynierów.

którzy po wyjściu na spotkanie z handlarzami walutą zaginęli bez śladu.

Początkowo podejrzenia wśród milicjantów budził fakt natychmiastowego przeniesienia kosztowności i pieniędzy przez Katarzynę Orzechowską do domu ojca. Jednak wyłączeniem takiego zachowania mógł być wstrząs, którego doznała dziewczyna. Czy podobną interpretację postępowania można było przyjąć w przypadku byłego męża pani Danuty?

W dniu zgłoszenia o zaginięciu kobiety Biuro Kryminalne KG MO powiadomiło Wydział Poszukiwań, Informacji i Rozpoznania oraz Wydział Kryminalny Komendy Stołecznej MO zlecając podjęcie niezbędnych czynności, które miałyby na celu sprawdzenie w meldunkach napływających z kraju czy zaginiona nie padła ofiarą zabójstwa lub wypadku drogowego. Jednocześnie posilując się pierwszymi ustaleniami w sprawie, wykluczono możliwość naturalnego zgonu, popełnienia samobójstwa, względnie ucieczki.

Wkrótce znaleziono odpowiedź, co stało się z Danutą Orzechowską. Spośród danych, które gromadził Wydział Poszukiwań, Informacji i Rozpoznania KS MO jedna z informacji zwróciła uwagę szukających.

19 lutego, w dniu zaginięcia dziennikarki, dwóch pracowników warszawskiego Przedsiębiorstwa Robót Inżynierskich „Hydrocentrum” dokonało makabrycznego odkrycia. Tego dnia kierownik budowy polecił im poprawić wykop i zamocować przewód elektryczny pod mostkiem przewieszonym przez Jeziorko Czerniakowskie. Przed rozpoczęciem pracy robotnicy postanowili odpocząć i ruszyli nad wodę. Kiedy stanęli przy brzegu jeden z nich zauważył unoszącą się na wodzie paczkę. Siegnął po nią i przyciągnął ją. Pakunek owinięty był w szary papier sklejoną na brzegach taśmą samoprzylepną. Wewnątrz natrafiono na aluminiowy garnek, w który była wciśnięta ludzka głowa.

— Myślałem, że wtedy zemdleję — zezna później jeden z robotników. — Chryste Panie, jeszcze dotąd, jak zamknę oczy, widzę tę głowę.

Natychmiast powiadomiono o znalezisku dyżurnego Komendy Dzielnicowej MO z Mokotowa. Dochodziła godzina 10.40 19 lutego 1980 roku. W protokole oględzin zapisano: „Włosy jasne, lekko falujące. Twarz bezbokebrodów, bez zarostu. Nad prawym okiem zaznaczona linia brwi, jak u kobiety. Głowa odcięta na wysokości trzeciego kręgu szyjnego, brzegi oddzielenia równe. Włosy długości około 13 centymetrów, przy skórze koloru ciemnobłond, od połowy jaśniejsze. Nos średniej wielkości, „orli”, wargi grube, zęby o białym szkliwie, górne siekaczki nierówne wysunięte do przodu. Małżowiny uszne duże, płatki nie przekłute”.

Milicjantom od razu nasunęło się przypuszczenie, by skojarzyć powyższe znalezisko z tajemniczym zniknięciem pracownicy telewizji. Wieczorem, o godzinie 19.40 głowę okazano byłemu mężowi Danuty Orzechowskiej. Ten rozpoznał ją po rysach twarzy, orlim nosie i ułożeniu charakteryzującym się tym, że dwie górne jędrki były lekko wysunięte do przodu.

Jeszcze tego samego wieczora zebrano inspektorów wydziałów kryminalnego i dochodzeniowo-śledczego KS MO i w czasie nadprędkę zwołanej narady ustalono plan działań operacyjno-śledczych. Po pierwsze postanowiono jak najszybciej spenetrować rejon przyległy do Jeziorka Czerniakowskiego oraz hały znajdujące się obok elektrociepłowni Siekierki. Sądono, że tylko kwestią godzin jest odnalezienie całego ciała. Po wtóre wydano polecenie dyskretnego „rozejścia się” w mieszkaniu zamordowanej. W trakcie oględzin, które miały miejsce dnia następnego nie natrafiono jednak na jakikolwiek ślad, który wskazywałby okoliczności, w jakich zaginęła. Nakazano również sprawdzenie alibi osób, które mogły wchodzić w krag podejrzanych o dokonanie zbro-

dni. Typowano mężczyzn, którzy w ostatnich miesiącach i dniach opuścili zakłady karne, a w przeszłości karani byli za napady. Szczegółowo przeanalizowano wszystkie interwencje służb patrolowych na terenie całej Warszawy w ostatnich 48 godzinach. Najwięcej uwagi poświęcono meldunkom o zaczepianiu bądź napastowaniu kobiet. Wydzieleni funkcjonariusze przystąpili do sprawdzeń wszystkich warszawskich pralni chemicznych, starając się ustalić klientów, którzy w dniach 19–20 lutego oddali do czyszczenia odzież z plamami lub śladami podobnymi do krwi. W pobliżu Jeziorka Czerniakowskiego zorganizowano zasadzkę.

Zadaniem do zlecenia milicjantom z grupy antyterrorystycznej, zdolnym do zatrzymania nawet najniebezpieczniejszego przestępcy w każdych warunkach.

Całość działań koordynacyjnych i wykrywczych sroczyła na osiemnastoosobowej grupie funkcjonariuszy MO wspomaganych przez trzynosobowy zespół analityków. Wertowano problematykę kryminalistyczną oraz sądowo-lekarską, w której zanotowano w przeszłości przypadki zabójstw połączonych z rozkawałkowaniem zwłok. Tam, między innymi, starano się znaleźć odpowiedź na pytanie, kim może być morderca — psychopata, maniakiem, zboczeńcem?

Z literatury fachowej wynikało, że w przypadkach zbrodniczego rozkawałkowania zwłok sprawcy dążyli do utrudnienia identyfikacji ich ofiar. W takich przypadkach często dochodziło do ukrycia, zniekształcenia głowy lub zmasakrowania twarzy. Mimo analiz nadal pozostawało otwarte pytanie, kto i w jakim celu dokonał tej makabrycznej zbrodni.

Funkcjonariusze warszawskich komend dzielnicowych rozpoczęli penetrowanie mebli, dworców, bazarów, ogródków działkowych. Starano się ustalić miejsce, w którym dokonano zabójstwa, próbowano też trafić na ślad przedmiotów należących do zamordowanej.

Podczas jednej z owych czynności sprawdzających plut. Henryk Rozbicki zwrócił się do pracownicy Dworca Centralnego z poleceniem otworzenia schowków, w których 19 lutego podróżni pozostawili bagaże. Komisynie przeszukano odpowiednie skrytki. W jednej z nich oznaczonej numerem „270” natrafiono na kożuszek damski. Kolor odpowiadał charakterystyce kożuszka, który w dniu zaginięcia miała na sobie Orzechowska. W schowku oznaczonym numerem „270” natrafiono również na walizkę, na której leżał bukiet kwiatów. Po jej otwarciu milicjant zobaczył ludzki korpus, spod którego wystawały palce martwej ręki. W związku z tym tę część dworca zamknięto na kilka godzin, aby sprawdzić inne skrytki. Podczas późniejszej sekcji zwłok zwrócono uwagę, że działania mordercy było typowe dla tego rodzaju zabójstw. Jak zanotowano w literaturze fachowej tylko w 12 procentach przyczyną śmierci, kiedy to rozkawałkowano zwłoki, było uduszenie. W pozostałych przypadkach zgon nastąpił w wyniku zadania ran klutych szyi i klatki piersiowej, poderżnięcia szyi, a przede wszystkim miażdżących obrażeń czaszki.

Podobnie było i w tym wypadku. Sprawca z całą mocą zadał swej ofierze cios w głowę, co spowodowało rozległe uszkodzenia czaszki i mózgu, w następstwie czego nastąpił zgon. Potem zbrodniarz przystąpił do rozrąbywania ciała.

(cdn.)

PAWEŁ SZLACHETKO
JERZY KIRZYŃSKI

„POPRAWILI” PO ZŁODZIEJACH

To wydarzenie mocno zbulwersowało środowisko milicyjne, zwłaszcza warszawskie. Nasi dawni koledzy (obecnie wydaleny z szeregów MO) dopuścili się pospolitej kradzieży, „poprawiając” po włamywaczach do sklepu PGH „Konsumy”. Jedynym jaśniejszym punktem w tej aferze jest fakt, że to inni milicjanci z własnej inicjatywy wykryli sprawców i że szef SUSW osobiście podjął decyzję o podaniu informacji w tej sprawie do środków masowego przekazu.

Do wykrycia afery przyczynił się w głównej mierze policyjny nos szefa DUSW Warszawa-Wola ppłk. Teodora Wancka. Gdy 19 lutego br. o godz. 7.30 zjawił się w pracy, zauważył, że w budynku „kręcą się” jego dwaj funkcjonariusze, którzy dawno powinni spać, bo zakończyli służbę o 6.00. Pierwszą myślą pułkownika było przypuszczenie, że może wpadli na głupi pomysł i popijają w garażach. Poleciał więc swemu zastępcy kpt. Stanisławowi Kłajnowskiemu skontrolowanie pomieszczeń i garaży znajdujących się na terenie DUSW. Zastępca wrócił po dziesięciu minutach roztrzęsiony, przyprowadzając ze sobą dwóch milicjantów.

W radiowozie, w którym pełnili służbę ci funkcjonariusze, znalazł, niezbyt dokładnie zresztą ukrytych, kilkanaście par rękawic skórzanych i kilkadziesiąt zapalniczek gazowych. Stojący obok maluch, który należał do jednego z tych milicjantów, wyglądał niczym „Sezam”. Leżały tam zapalniczki, rękawice, zagraniczne papierosy, kawa, herbata i kożuch męski. Jakby tego było mało w ogólnodostępnej ubikacji znaleziono jeszcze 5 kożuchów damskich. Wartość wszystkich odzyskanych rzeczy oceniono na ponad 10 milionów złotych.

Choć nie ulegało wątpliwości, że przedmioty te pochodzą z kradzieży, st. sierż. Zbigniew Sz. (w milicji 6 lat) i st. sierż. Andrzej K. (w milicji 12 lat) tłumaczyli się, że zapomnieli je zdać do depozytu oficerowi dyżurnemu. Wyjaśnienia te były nie tyle po prostu, co naiwne. Natychmiast powiadomiono prokuratora i obydwu zatrzymano w areszcie. Ich wina była ewidentna, szef SUSW nazajutrz podjął decyzję o wydaleniu podejrzanych z szeregów MO.

Skrupulatnie odtworzono wydarzenia poprzedniego dnia. Zbigniew Sz. i Andrzej K. pełnili 18 lutego od godz. 18.00 służbę w oznakowanym radiowozie. O godz. 22.10 dyżurny przyjął informację od mieszkańca Woli, że do sklepu konsumowskiego przy ul. Górczewskiej 27/35 ktoś usiłuje się włamać. Na miejsce udała się błyskawicznie załoga z Batalionu Patrolowo-Interwencyjnego SUSW. Stwierdzono, że wybito szybę, ale krat i klódek nie naruszono. Milicjanci przypuszczali, że może to być preludium do właściwego włamania i dlatego w rejon Górczewskiej skierowano więcej służb. O godzinie 4.10 odebrano kolejny sygnał o włamaniu do tego sklepu. Trzy radiowozy, w tym jeden z bohaterami afery i dwa wywiadowców (nieoznakowane), po kilkunastu sekundach były już na miejscu. Sprawcy, w tym jeden wyglądający na kobietę, bo ubrany w damski kożuch, zaczęli uciekać. Po drodze rzucili więź stereofoniczną Schneidera, którą lekko uszkodził pędzący radiowóz. Po kilku minutach cała trójka została ujęta. Przekrój społeczny grupy był typowy: jeden stary włamywacz i dwóch nie uczących się nastolatków (18 i 19 lat).

Wywiadowcy pojechali z zatrzymanymi do siedziby DUSW, a starsi sierżanci Andrzej K. i Zbigniew Sz. zostali na miejscu, aby zabezpieczyć sklep po włamaniu. I wtedy to okazała uczyniła z nich złodziei....

ZYGMUNT PODHORODECKI



Dzisiaj chcemy zarekomendować Państwu tylko jeden film — jeden, ale jaki!!!

Dziewiętnastowieczna Anglia roku 1888. Londyn. Jest 31 sierpnia, godzina pierwsza w nocy. Na ulicy Bues Row zostaje zamordowana Mary N. Nicols, dwudziestoletnia prostytutka. Zabójca poderżnął jej nożem gardło, a następnie wyciął narzędzie rodne oraz nerkę.

Przez następne 102 lata świat będzie intrygowana zagadką serii zabójstw prostytutki dokonanych przez psychopata, który nazwał siebie Kubą Rozpruwaczem.

A oto jak autorzy przedstawiają swój film na wstępie emisji: „Obraz jest rekonstrukcją wydarzeń sprzed wieku. Scenariusz oparto na podstawie wnikliwych badań dokumentów. Za zgodą Home Office (brytyjskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych) przestudiowaliśmy akta tej sprawy. Przeprowadziliśmy wywiady ze specjalistami kryminalistyki oraz z pracownikami Scotland Yardu”.

Czy to film, który mówi prawdę o Kubie Rozpruwaczu? Dlaczego dopiero teraz została ona ujawniona? Opowieść jest złożona z dwóch części, każda trwa ponad 140 minut. Obraz XIX-wiecznego Londynu odtworzono niemal z dokumentalnym pietyzmem. W roli głównej występuje doskonały Michael Cane. Gra on inspektora Scotland Yardu Federica Abberlina. Obok niego możemy zobaczyć m. in. Jane Seymour (pamiętna rola Natalie z serialu „Wojna i pamięć”).

Scenarzyści „Kuby Rozpruwacza” zrezygnowali z taniach chwytów „pod publiczkę”, którymi byłyby np. sceny dokonywanych na kobietach morderstw. Tu mamy do czynienia z frapującym studium dochodzenia przez policję do prawdy, kto naprawdę jest mordercą.

„Jack the Ripper”, scen. Derek Marlow i David Wickes, reż. David Wickes, muz. John Cameron.

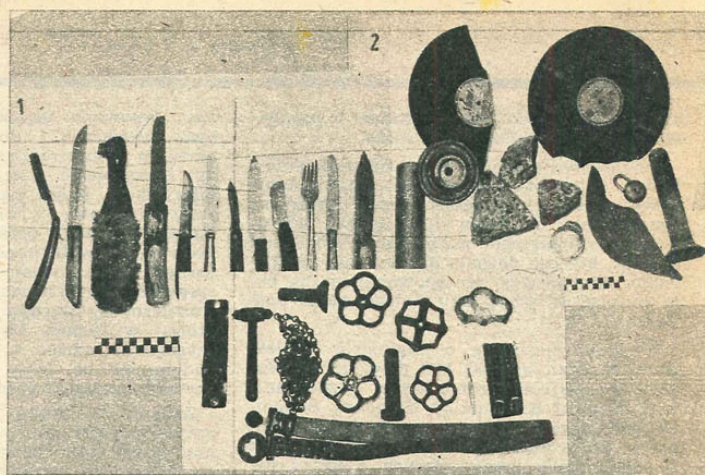
■ — O funkcjonariuszach dawnego warszawskiego ZOMO, obecnie SOP MO, mówiło i pisało się różnie. Ostatnio coraz częściej źle, zwłaszcza w środowiskach masowego przekazu. Jaka jest pańska opinia na temat tych publikacji? — pytam szefa sztabu Stołecznego Oddziału Prewencji MO ppłk. Mieczysława Szablewskiego.

— Na początek jedna uwaga. W milicji służę od 1962 roku i wielokrotnie dowodziłem akcjami przywracającymi ład na ulicach. Ośrodki dyspozycyjne się zmieniały, a nasze zadania zawsze były takie same i takie będą zapewne w przyszłości. Coraz częściej nie tło polityczne czy ekonomiczne jest powodem naruszania porządku na ulicach, ale zwykła chęć do rozrób i niszczenia. Słowo „zadyma” weszło na stałe do młodzieżowej gwary.

Z żalem muszę stwierdzić, że wielu autorów opisów wydarzeń zakłócających spokój i ład publiczny czyni to w sposób koniunkturalny, nacelowany na sensację. Reportaże skłcone według własnych upodobań, na podstawie relacji przypadkowych osób lub zadymiarzy nie przedstawiają obiektywnego przebiegu wydarzeń, nie uwzględniają w żadnym stopniu podstawowych przyczyn i źródeł powstania zagrożenia.

Wiemy niekiedy na podstawie przypadkowych informacji, że celem nielegalnych zgromadzeń osób najczęściej bardzo młodych jest niszczenie mienia. Jawna i niejawną obserwacją gromadzących się potwierdza, że przybywają oni na miejsce niby pokojowej manifestacji z butelkami napelnionymi benzyną, słoikami z farbą itp. Przecież można nimi zabić człowieka lub spowodować trwałe kalectwo! Miotane przedmioty — bardzo często specjalnie skonstruowane (np. grube zespawane metalowe kolce rzucone z dużą siłą) mogą przebić jednocześnie kask i głowę. Wielu młodych ludzi ma świadomość, że może zabić człowieka i mimo wszystko używa tych przedmiotów.

W takich okolicznościach funkcjonariusze MO w uzasadnionych przypadkach sto-



OSTROŻNIEJ W PROPAGANDZIE

suja środki przymusu bezpośredniego, po wyczerpaniu wszystkich łagodniejszych środków oddziaływania.

W ulicznych demonstracjach najczęściej grupę stanowią osoby w wieku od 12 do 17 lat. Są też znacznie młodsi i jest też wiele osób przypadkowych. W prasie w większości opisów zachowań młodzieży i postępowania funkcjonariuszy MO nagminnie manipuluje się faktami. Reporterzy piszą najpierw, że milicjanci użyli pałek, a potem dopiero, że atakowano milicjantów kamieniami i innymi przedmiotami.

Na naszych stadionach np. powszechny jest obraz młodego człowieka, który na imprezę udaje się z dużym nożem, bagnietem, kastetem, procą, różnymi proszkami niszczącymi odzież, groźnymi ślepotą osobie, przeciwko której mają one być użyte. Mimo że ma to miejsce od kilku lat, opinia publiczna dowiaduje się tylko o niektórych skutkach zachowań. Częściej ze środków masowej informacji można dowiedzieć się, że milicja źle pracuje, a niekiedy przypisuje się działaniom funkcjonariuszy prowokacyjny charakter. Trudno o bardziej błędną opinię o pracy MO przedstawianą społeczeństwu. Chce się powiedzieć: kto sieje wiatr, zbiera burzę. Przeglądamy wszystkie wygrywa głupota i nieposkromione, niskie instynkty wielu grup rozwyrzonych nastolatków.

Niepokoje mnie fakt, że organizatorzy różnych manifestacji nie biorą żadnej od-

powiedzialności za ich przebieg. Z przedstawicielami Niezależnego Związku Studentów w okresie przed jego rejestracją milicja nawiązywała bezpośredni kontakt w celu utrzymania porządku. Od pewnego czasu działacze NZS czują się jakby zwolnieni z obowiązku zapewnienia spokojnego przebiegu manifestacji. Przed 27 stycznia br. (manifestacja przed Pałacem Kultury i Nauki), a także w dniu manifestacji, NZS-owcy nie chcieli wziąć na siebie odpowiedzialności za utrzymanie porządku i niedopuszczenie do chuligańskich ekscesów.

Chcemy dobrze służyć społeczeństwu, ale chcemy też być należycie oceniani.

Jesteśmy za publicznym osadem naszych działań, ale zgodnie z faktycznym stanem rzeczy. Dysponujemy bogatą dokumentacją przedstawiającą przedmioty do „rozmów” z milicjantami podczas tych „pokojowych manifestacji”.

notował
**ZYGMUNT
PODHORODECKI**

PS Już po przeprowadzeniu tej rozmowy ppłk Mieczysław Szablewski mianowany został dowódcą Stołecznego Oddziału Prewencji MO.



MÓJ PIES

„SIAD” CZY „USIADŹ”?

W regulaminach Związku Kynologicznego w Polsce, a także między narodowej federacji używa się sygnału „siad”, w Zakładzie Tresury Psów Służbowych MO w Sułkowie „usiadź”, by pies nie potem sygnału „siad” z „wacha-

ślad”. Efekt sygnałów „siad” i „usiadź” jest jednakowy — pies ma siedzieć.

W tresurze psa niezbędne jest stosowanie bodźców, czyli wszystkich czynników działających na organizm (psychikę) zwierzęcia, pochodzących ze środowiska zewnętrznego (hluk, szelest, ruch) lub wewnętrznych (ból).

W tresurze przyjęto podział na: 1) bodźce bezwarunkowe — mają na celu zmusić psa do wykonania nakazanych czynności (bezwarunkowo) np. przez użycie rąk, pociągnięcie smyczy, ale... także przez pokazanie smakołyku. Za smakołyk pies potrafi zrobić... no, prawie wszystko. Ale najbardziej ofiarnie zachowa się, gdy wykorzystamy więź — zaufanie psa.

2) bodźce warunkowe — umowne. W początkowym okresie tresury są dla psa niezrozumiałe np. słowa „siad”, „waruj”, „równaj” i znaki ręką lub nogą. Mogą jednak nabrać znaczenia przez wielokrotne łączenie tych sygnałów (słowa) lub znaków (ruchy) z czynnościami, które pies wykonuje. Łatwo więc nauczyć psa siadania nawet na słowo „śpiewaj”, jeżeli zawsze po tym słowie będziemy zmuszać psa bodźcami bezwarunkowymi (ręce, smycz) do zajęcia tej pozycji. Wynika z tego dodatkowy wniosek, że uczyć psa jakichkolwiek czynności używać należy tylko jednego sygnału lub znaku, z którym pies ma to ćwiczenie kojarzyć. Wszelkie inne bodźce docierające do psa nazywać będziemy bodźcami rozpraszającymi. Przeszkadzają w tresurze, ale... jeżeli pies potrafi już wykonać ćwiczenie, często świadomie wprowadzamy bodźce rozpraszające, aby nawet w trud-

niejszych warunkach pies wykonywał to ćwiczenie prawidłowo.

W tresurze obowiązują ściśle określona kolejność stosowania bodźców: 1 — najpierw bodźce warunkowe (sygnał lub znak — wyraźny, umiarkowany, niezmienny w treści); 2 — należy psu dać chwilę (1–3 sek.) na skojarzenie i wykonanie polecenia: tzw. związek czasowy; 3 — jeżeli pies ćwiczenia nie wykona, stosujemy bodźce bezwarunkowe, które zmuszą psa do wykonania ćwiczenia (nacisk rąk, pociągnięcie smyczy, widok smakołyku, wykorzystanie więzi itp.); 4 — w początkowym okresie nauki zawsze wynagradzamy psa pochwałą lub smakołykiem za dobre wykonanie ćwiczenia.

JAN WALICKI



SPORT



PEŁNOPRAWNY SENIOR

Pod znakiem dużych niespodzianek przebiegały tegoroczne mistrzostwa Polski w boksie rozegrane w Jastrzębiu, o czym świadczy choćby fakt, iż po raz pierwszy w swej karierze na najwyższym podium stanęło aż sześciu zawodników, wśród nich gwardziści: Jerzy Ziętek (Olimpia Poznań), Tomasz Borowski (Gwardia Warszawa) oraz Wojciech Bartnik (Gwardia Wrocław). Dodajmy, że „złoto” wywalczył także Rafał Niedbalski (Olimpia Poznań) natomiast srebrny medal przypadł Robertowi Budzie (Gwardia Wrocław).

Wkrótce po zakończeniu turnieju rozmawiałem z trenerem pięciarzu warszawskiej Gwardii Mieczysławem Pastuszakiem.

— Ogromnie cieszymy się z medala Tomka, który tym samym udowodnił, że jego sportowa kariera rozwija się prawidłowo. W ub. r. był trzecim zawodnikiem mistrzostw, teraz spokojnie wygrał. Wprawdzie zarzucano nam, że Tomek nie dąży do przekonywania zwycięstwa, ale wynikało to z nieznajomości naszych taktycznych ustaleń. Jego poczynania ustawialiśmy w zależności od stylu walki kolejnych przeciwników. Przecież boks to nie tylko

biłatyka na rękawice, ale sztuka zaprezentowania umiejętności zasłonię, przechodzenia do kontrataków, zadawania serii ciosów.

— Pański zawodnik, mimo niewielkiego stażu w pięciarskim ringu, zanotował na swym koncie wiele znaczących sukcesów. Znam go jako pracowitego, skromnego chłopaka. Czy nie zmienia tej opinii?...

— Jestem przekonany, że taki będzie nadal. Tomek w krótkim czasie wdał się przebojem do pierwszego zespołu Gwardii i znakomicie poczynił sobie wśród ligowych wyjadaczy wygrywając aż 12 walk przy jednym remisie i jednej porażce. Nie sposób nie wspomnieć, że jego pierwszym trenerem był, przebywający od niedawna na emeryturze, Wiktor Szulc, który utalentowanego młodzieńca nauczył podstaw boks, jak i rozumienia tej trudnej dyscypliny sportu. Dziś, choć Tomek nadal dojeżdża na codzienne treningi do Warszawy z Woli Worońskiej, miejscowości leżącej niedaleko Grójca, nie narzeka na uciążliwość, zmęczenie. Nie chce poprzestać na tym, co już osiągnął, pragnie, by o nim mówiono

w Europie i na świecie. Jestem przekonany, podobnie jak i jego wychowawca W. Szulc, że mu się uda nawiązać walkę ze światową czołową.

— Analizując występy innych Pańskich zawodników nasuwa się wniosek, że kilku z nich spoczęło na laurach...

— Na całej linii zawiódł jeden z naszych podstawowych pięciarzy, doświadczony Andrzej Ogowski, który w ćwierćfinale przegrał z nieznanym Bogunem (Górniki Pszów). Andrzej, nie ulega wątpliwości, nie spełnia pokładanych w nim nadziei. Ograniczając się do startów klubowych nie ma ambicji konkurencji z najlepszymi pięciarzami wagi średniej. Ogromna to strata. Ligową sławą zadawała się także Sławek Miedziński, który po interesującej walce przegrał nieznacznie z późniejszym wice mistrzem kraju Krzysztofem Wróblewskim (Igloopol Dębica). Ten krytyczny osąd nie oznacza, że wyczerpali oni już swe możliwości. Od nich w dużej mierze zależeć będzie czy staną się wielkimi sportowcami. Przyjemną niespodziankę sprawił za to „kogut” Jurek Ciechanowski, który sięgnął po trzecie miejsce. Może uwerzy tym samym w swoje siły i szanse na sukcesy?

kirz.

Rozwiązanie konkursu z nr. 5 „MK 997”: 1. W spotkaniu decydującym o tytule mistrza Polski Wisła Kraków zmierzyła się z Pogonią Lwów. 2. W rozgrywkach w 1927 r. triumfowali piłkarze krakowskiej Wisły. 3. Wisła-cy przez 1692 minuty byli bez porażki, doznali jej dopiero w 19 kolejce. Prowadzenie w tabeli I ligi objęli po 3 meczu i zachowali je do końca rozgrywek.

Nagrodę wylosował Wojciech Kafel z Częstochowy. Gratulujemy.

UWAGA! NASZ KONKURS „KIBIC DOSKONAŁY”

A oto kolejne pytania:

1. W latach 1965—68 był najlepszym polskim judoką. Trzy razy zdobywał mistrzostwo kraju, największy sukces zanotował w 1966 r., kiedy wywalczył wicemistrzostwo Europy. Podaj jego nazwisko.
2. Który z polskich judoków przed Januszem Pawłowskim walczył w olimpijskim finale?
3. Z chwilą powstania w naszym kraju judo stało się sekcją Polskiego Związku Łucznictwa, Zapasów, Sportów Walki? Wśród autorów prawidłowych odpowiedzi nadesłanych pod adresem redakcji z dopiskiem „Kibic doskonały” (w ciągu 10 dni) rozlosujemy nagrodę ufundowaną przez redaktora naczelnego „Magazynu Kryminalnego 997”.



Radca
prawny
odpowiada

CZAS PRACY URZĘDNIKÓW

Z dniem 1 stycznia 1990 roku weszło w życie zarządzenie nr 25 prezesa Rady Ministrów z 22 grudnia 1989 r. w sprawie zasad ustalania rozkładu i wymiaru czasu pracy pracowników urzędów państwowych.

Na podstawie zasad określonych w wym. zarządzeniu kierownicy urzędów państwowych są upoważnieni do ustalania rozkładu czasu pracy w tygodniu oraz jego wymiaru w poszczególne dni tygodnia tygodnia pracowników urzędów państwowych. Podstawowymi zasadami w zakresie rozkładu i wymiaru czasu pracy są następujące reguły:

W jednym tygodniu miesiąca, w którym pierwsza z sobót miesiąca jest w uroczystych dniach

kładach dniem dodatkowo wolnym od pracy, w urzędach państwowych obowiązują od poniedziałku do piątku 7-godzinny dzień pracy, tj. od 8.15 do 15.15, a w sobotę 5-godzinny dzień pracy, tj. od 8.15 do 13.15. W pozostałych tygodniach w urzędach państwowych obowiązują od poniedziałku do piątku 8-godzinny dzień pracy, tj. od 8.15 do 16.15. W urzędach terenowych organów administracji państwowej można, w miarę potrzeby, określać odmiennie godziny rozpoczęcia i zakończenia pracy. Jeżeli potrzeba zapewnienia obsługi obywateli wymaga, aby wszyscy lub część urzędników niektórych działów administracji pracowała w innym rozkładzie i wymiarze czasu pracy w poszczególnych dniach tygodnia albo w innych godzinach w ciągu dnia niż określona w wym. zarządzeniu prezesa RM, wówczas ustalenie tychże może nastąpić w granicach ustawowych norm czasu pracy urzędników państwowych, tj. 40 godzin na tydzień i 8 godzin na dobę (art. 29 ust. 1 ustawy z 16 września 1982 r. o pracownikach urzędów państwowych Dz.U. nr 31, poz. 214 z późn. zm.).

W razie, gdy na polecenie przełożonego urzędnik pracował w sobotę nie będącą dniem pracy w urzędzie, przysługuje mu dzień wolny w innym dniu tygodnia. W urzędach terenowych

organów administracji państwowej stopnia podstawowego praca tych urzędów w soboty może być dostosowana odpowiednio do czasu pracy w innych zakładach pracy, tj. urzędnicy tych urzędów mogą pracować w inne soboty niż te, które określamy na początku. W rozkładzie czasu pracy urzędników terenowych organów administracji państwowej powinien być ustalony co najmniej jeden dzień tygodnia, w którym praca jest wykonywana w godzinach popołudniowych, do godziny 18.00. Pracownicy urzędów stanu cywilnego, którzy pracują w niedziele, święta i dodatkowe dni wolne od pracy powinni mieć zapewnione dni wolne w inne dni tygodnia oraz co najmniej raz na 3 tygodnie niedzielę wolną od pracy. Jeżeli jest to uzasadnione szczególnymi względami, w urzędach państwowych może być określony dzień tygodnia, np. środa, ustalony dniem wolnym od pracy z obowiązkiem jego odpoczynania w najbliższą sobotę nie będącą dniem pracy w urzędzie.

Natomiast wymiar czasu służby (pracy) w jednostkach organizacyjnych resortu spraw wewnętrznych reguluje zarządzenie nr 12/90 ministra spraw wewnętrznych z 27 stycznia 1990 r.

Grażyna Grzątek

magazyn

997

kryminalny

PISMO RESORTU SPRAW WEWNĘTRZNYCH — UKAZUJE SIĘ OD 14 IV 1945 ROKU Wydawca MSW.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: ELŻBIETA CIERLICA (zastępca red. naczelnego, 45-61-72 lub 20-16-39), RYSZARD HRZYCYK (red. graficzny), JERZY KIRZYŃSKI (kierownik dz. zawodowego, 45-61-15), ROMUALD LABANOW (redaktor naczelny, 20-54-18 lub z MSW 149-70), Henryk Makarski (oddział red. w Lublinie, 201-01 w. 4605), Tadeusz Noszczyński, Edward Nowak, Adam K. Podgórski (oddział red. w Katowicach, 510-221 w. 1965), Zygmunt Podhorodecki, Elżbieta Sitek, Paweł Szlachetko, Jolanta Szutkowska, Jolanta Śliwier, MARCEL TABOR (sekretarz redakcji, 45-61-32, 20-16-39), Cezary Woliński, Krzysztof Zaczekiewicz (red. techniczny)

FOTOREPORTERZY: Krzysztof Mokrzyński, Krzysztof Potocki

ADIUŚTATOR: Agata Guzek-Wrotna

KOREKTA: Małgorzata Boruta, Elżbieta Mirowska

ŁĄCZNOŚĆ Z CZYTELNIKAMI: Maria Pawlak, Teresa Tomaszewska 45-68-66

ADRES REDAKCJI: 00-896 Warszawa, ul. Ogrodowa 28/30. Telefon sekretariatu 45-61-26, kasa 45-60-86. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych oraz zastrzega sobie prawo skrótów i zmian tytułów nadesłanych artykułów.

PRENUMERATA: Prenumerata wyłącznie za pośrednictwem CKW dla jednostek resortu spraw wewnętrznych, WP i instytucji.

Zamówienia i reklamacje w sprawie kolportażu kierować do RSW „Prasa-Książka-Ruch” Centralny Kolportaż Wojskowy 00-950 Warszawa, ul. Wronia 29/31, tel. 20-12-61 w. 338. Wpłaty należy dokonywać na konto CKW w PBK XIII O/Warszawa nr 370044-001632.

OGŁOSZENIA: Przyjmujemy pod adresem redakcji „MK 997”. Cena: słowo — 3000 zł cm² — 6000 zł. Koloryzowane dwukrotnie droższe. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

DRUK: Wojskowe Zakłady Graficzne, 00-950 Warszawa, ul. Grzybowska 77

numer zamknięto 4 IV 1990

Zam. 2800

F-49

REDAKTOR DYŻURNY

Cezary Woliński



— Rys. J. Wilkowski —

MYŚLI

W krytycznym położeniu trzeba się chwytać ryzykownych środków.

Seneka

Najpewniejszy sposób, aby być oszukanym, to uważać się za sprytniejszego od innych.

La Rochefoucauld

My, Polacy, zawsze robimy projektu nie sprawdziliśmy środków, a nawet nie pytając, czy w ogóle nasze środki wystarczą. No i tak nam się też wiedzie w życiu.

B. Prus

Najstraszniejsi są ludzie, którzy wiedzą wszystko i są o tym święcie przekonani.

E. Canetti

Łatwo jest nawracać innych, lecz bardzo trudno nawrócić samego siebie.

O. Wilde

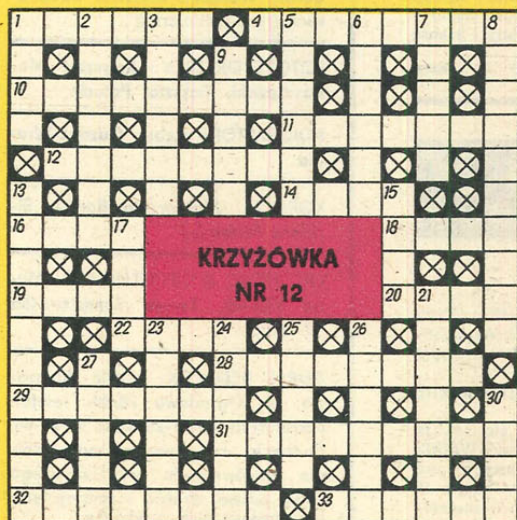
Niczego nie można do końca przemysleć, wszystko można do końca przetrwać.

K. Irzykowski

Zapamiętaj:

O własnych stój siłach — nie zaś podtrzymiwany.

Marek Aureliusz



POZIOMO: 1) odgłos biegających koni, 4) wyższa uczelnia, 10) zbiornik do magazynowania wody, 11) stos drzewa zapalony pod gołym niebem, 12) osoba zbierająca informacje za pomocą pytań, 14) umiar w postępowaniu, 16) międzynarodowa umowa polityczna, 18) rasa psa myśliwskiego, 19) jedna z europejskich metropolii, 20) ustoiny, fusy, 22) zalegają na półkach w archiwum, 28) styl w sztuce, 29) przyrząd pomiarowy, 31) żądanie, któremu towarzyszy groźba, 32) forteca, 33) stos.

PIONOWO: 1) urodzinowe ciasto, 2) część młotka, 3) port w pin. Norwegii, 5) miejscowość leczniczo-wypoczynkowa, 6) okienko na poddaszu, 7) rytmiczny chód, 8) arteria komunikacyjna szybkiego ruchu, 9) bok statku, 13) luksusowe pomieszczenie w hotelu, 15) państwo na Czarnym Łądzie, 17) zapora wodna, 21) członek wyższej izby parlamentu, 23) szkic, zarys, 24) plakat papieru o ustalonym formacie, 25) prawość, szlachetność, 26) zachęta, bodziec, 27) polska gwiazda filmu niemego, 30) uchodzi do M. Kaspijskiego.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce „Krzyżówka nr 12”. Do rozlosowania bon oszczędnościowy wartości

5000 ZŁOTYCH

Rozwiązanie krzyżówki nr 4

POZIOMO: wektor, astronom, znaczorka, klakier, Holandia, Liza, Eryk, pole, idol, skaj, trok, Achilles, paragon, konkurent, renesans, czasza, **PIONOWO:** waza, kłamotoy, Ochman, szakal, rebacz, nawis, Mikronezja, broda, helikopter, Apis, kolt, kredens, regres, kankan, Chiny, flausz, Orkan, Atma.

Bon oszczędnościowy wartości 5000 złotych wylosował Edward Merta, 42-200 Częstochowa, ul. Kosmiczna 4/14.

PREZENTY

na czeszurowanym

Zegarek kojarzy się Chińczykowi z pożegnaniem zmarłego, dlatego też w Chinach nie daje się czasomierzy na prezent.

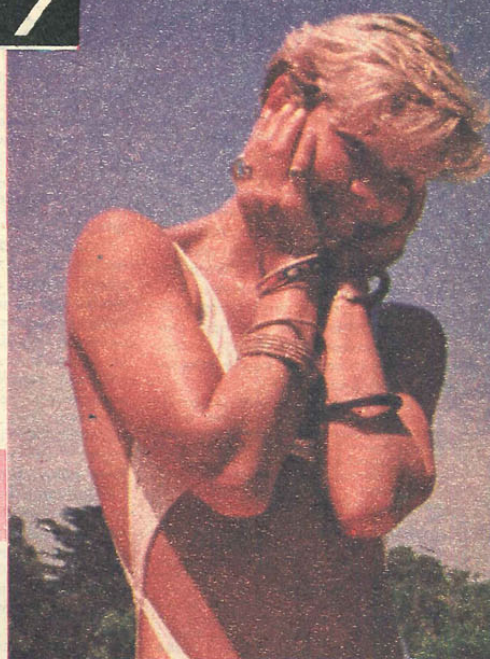
Czerwone róże wręczone zamężnej kobiecie są w Niemczech symbolem romantycznej miłości — nie zawsze więc nadają się na prezent.

We Francji chcąc być szarmanckim należy kobiecie zaproszonej na kolację przynieść kwiaty. Ale nie chryzantemy, bo te symbolizują smutek.

Również w Japonii chryzantemy stanowią tabu, ponieważ są częścią cesarskiego herbu. Niestosowne są również upominki z wizerunkiem lisa lub borsuka, gdyż lis jest symbolem płodności, a borsuk podstępnej przebiegłości.

W Ameryce Łacińskiej nie należy wręczać najpiękniejszych nawet chustek do nosa, są bowiem symbolem łez i zmartwień.

I na zakończenie: Podczas wizyty prezydenta J. F. Kennedy'ego w Indiach Amerykanie zamierzali wręczyć członkom indyjskiego rządu w Delhi portrety swego prezydenta. W ostatniej chwili zorientowano się, że fotografie oprawione są w krokodylą skórę, zwierzęcia będącego w Indiach obiektem kultu.



FRASZKI

ZNACZKOWOZNAWCZY

Minister Jacek Kuroń to ten, co jeździ na żupki do RFN.

SZKODA MARZYĆ

O porozumieniu nawet marzyć szkoda, gdy rękę do zgody wyciąga niezgoda.

DYPLOMACJA

O racji stanu mówi się w dyplomacji, gdy niewygodnie mówić o stanie racji.

Jerzy Leszczyński

ANECDOTA

Rzymski cesarz Tyberiusz nie odwoływał przez całe lata zarządców prowincji, jeśli okazali się uczciwi i mądry. Ściśle jednak kontrolował ich działalność. Gdy razu pewnego jeden z gubernatorów z nadmiaru służalczości przysłał do Rzymu większą sumę podatków niż cesarz wyznaczył, Tyberiusz udzielił mu surowej nagany:

— Życzę sobie — oświadczył — żeby moje owce były strzyżone, a nie golone.

Innym razem doradcy proponowali cesarzowi, aby wymienił namiestnika pewnej prowincji, ten bowiem, wskutek długiego przebywania w jednym miejscu, wszedł w zbyt bliskie kontakty z miejscową arystokracją. Tyberiusz nie zgodził się na to:

— Ten, który tam jest od lat — powiedział — wzbogacił się już wystarczająco i teraz nie ma powodu grabić poddanych. Gdyby przyszedł nowy, musiałby znowu zacząć od grabieży, żeby się szybko wzbogacić.

Z NASZEGO KLASERA

W 1983 r. minęło 200 lat od pierwszego lotu człowieka balonem. Znaczki okolicznościowe wydała Kuba.

Zb. Len.

